



# VIA-APPIA

KWARTALNIK LITERACKO-KULTURALNY

Numer 10 / 01.2013

## WYWIAD

STEFAN DARDA

## ODETCHNIJ POEZJĄ

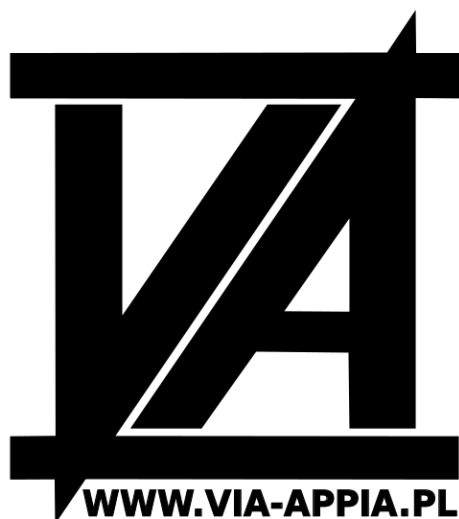
## SZALEŃSTWO W SALEM

## TAJEMNICA KSIĘCIA JEREMIEGO

## TRÓJKA KLASYKÓW CZYLI ALIEN W NATARCIU







Mija kolejny rok. Z chwilą, gdy weźmiecie ten numer w swoje ręce tj. otworzycie go na swoim komputerze, będzie już dawno wiadome, że przepowiednia Majów dotycząca końca świata w 2012 roku była bujdą i tego dnia nie stało się nic specjalnego. Wszystkich zawiedzionych fanów apokalipsy 2012 serdecznie pozdrawiam! :)

W najnowszym numerze Via Appia zaaplikujemy Wam sporą dawkę tajemnicy i sekretów skrywanych przez karty historii. Na łamach obecnego numeru odświeżycie swoją wiedzę na temat Atlantydy, Stonehenge czy choćby zagadki miasteczka Salem. To jednak nie wszystko, czego możecie się spodziewać. Zaprezentujemy Wam również teksty, które zostały nagrodzone w Konkursie literackim „Radość Pisania”.

Osoby poszukujące inspiracji serdecznie zapraszamy do działów INSPIRATIO oraz KREATORIUM. Znajdziecie tam analizy tekstów literackich pod kątem „jak nie pisać”, a także artykuły o literaturze, muzyce czy sposobie kreacji postaci. Nie zapomnieliśmy rzecz jasna o poetach – w najnowszym numerze również oni znajdą coś dla siebie.

Dział POGRANICZA jak zwykle pęka w szwach. Najważniejszą pozycją jest tutaj wywiad z pisarzem Stefanem Dardą, którego mamy przyjemność gościć na naszym forum. Wywiad skupia się między innymi na budowaniu nastroju w utworach literackich, tak bardzo potrzebnego podczas tworzenia tekstów prozatorskich, ale nie tylko.

Zapraszamy również do zapoznania się z relacją z targów MCM EXPO, które odbyły się w październiku w Londynie. Oj działo się wtedy, działo! Kto nie był niech żałuje ;) Jak co kwartał prezentujemy również garść recenzji tak książek, jak i filmów. Dział FILMOWY zawiera również obszerna analizę twórczości autorów sagi o Alienie. Zachęcamy do zapoznania się z nią!

W nadchodzącym nowym roku życzymy wszystkim czytelnikom zdrowia, pomyślności oraz szczęścia. Niech spełnią się Wasze marzenia i rozpoczęty już, dwutysięczny trzynasty rok przyniesie dużo pozytywnych niespodzianek oraz nowych i ciekawych doświadczeń.

Damian Nowak  
Redaktor Naczelny

WSTĘPNIAK	2
<b>NEWSY</b>	
CO W TRAWIE PISZCZY?	4
<b>TEMAT NUMERU: "NIEWYJAŚNIONE ZAGADKI PRZESZŁOŚCI"</b>	
ATLANTYDA OCZYMA PLATONA	6
KRĄG TAJEMNIC	11
SZAŁEŃSTWO W SALEM	14
KŁĄTWA KSIĘCIA JEREMIEGO	17
ON LUBIŁ ROZPRUWAĆ	20
<b>TEKST MIESIĄCA</b>	
KSIĘŻNICZKA- ANTYBAŚŃ (SIERPIEŃ)	24
WSPOMNIENIE Z DZIECIŃSTWA(WRZESIEŃ)	31
DETEKTYWI (PAŹDZIERNIK)	35
<b>INSPIRATIO</b>	
MUZYKA PLUS LITERATURA RÓWNA SIĘ...	38
<b>KREATORIUM</b>	
OD OGÓŁU DO SZCZEGÓŁU	40
JAK (NIE) PISAĆ	42
<b>POEZJA</b>	
ADDICT	46
NIE JESTEM	47
GROBIAŹDZEK	47
PISZĘ WIERSZE	48
<b>KONKURS "RADOŚĆ PISANIA"</b>	
UTOPIA	50
NOC GROZY W MOIM MUZEUM	56
ZA KURTYNĄ TUPIĄ DEBIUTANCI	57
<b>POGRANICZA</b>	
STEFAN DARDA O PISANIU	60
WOJNA W TWOIM CIELE	64
ZŁOT DZIWAKÓW CZYLI MCM EXPO	
LONDYN	66
GROZA - DWIE RECENZJE	74
<b>FILM</b>	
TRÓJKA KLASYKÓW	78
UWAGA - TO NIE JEST HORROR	82
HITY I KITY FILMOWE	83

# CO W TRAWIE PISZCZY

## ***Reklamy na forum.***

Wieści z forum zaczniemy od mniej przyjemnych rzeczy. Otóż administracja wprowadziła na forum reklamy. Wyświetlają się na obszarze pod Shoutboxem i mają postać kwadratów o boku 125px. Wdrożenie reklam było koniecznością, gdyż utrzymanie serwisu nie jest darmowe, a nie ma obecnie żadnego innego źródła dochodów, które mogłoby pokryć te koszty. Również rozwój forum pociąga za sobą nakłady finansowe, których w większej części nie mamy, stąd właśnie zrodził się pomysł na uruchomienie systemu reklamowego.

Reklamy znajdują się tylko na głównej stronie i nie utrudniają korzystania z serwisu (nie są to wyskakujące okienka, które trzeba zamykać). Mamy nadzieję, że wpływy z reklam będą w stanie pokryć wydatki, jak również pomóc w rozwoju forum.

## ***Via Appia poleca oraz Odetchnij poezję.***

Małą metamorfozę przeszedł również konkurs pt. „Tekst miesiąca”. Został przemianowany na „Via Appia poleca” i promuje od teraz wszystkie teksty, bez względu na datę ich wstawienia na forum. Również użytkownicy mogą poddawać swoje typy ciekawych prac, które w jakiś sposób umknęły Oceniaczom i zwrócić tym samym ich uwagę na daną pozycję.

Jako, że „Via Appia poleca” jest konkursem skierowanym do prozaików, postanowiliśmy wprowadzić podobny konkurs dla forumowych Poetów, którzy nie zostali tutaj pominięci. „Odetchnij poezję” jest formą wyróżnienia najlepszych wierszy na forum, wybieranych dwa razy w miesiącu przez Oceniaczy zajmujących się Poezją.

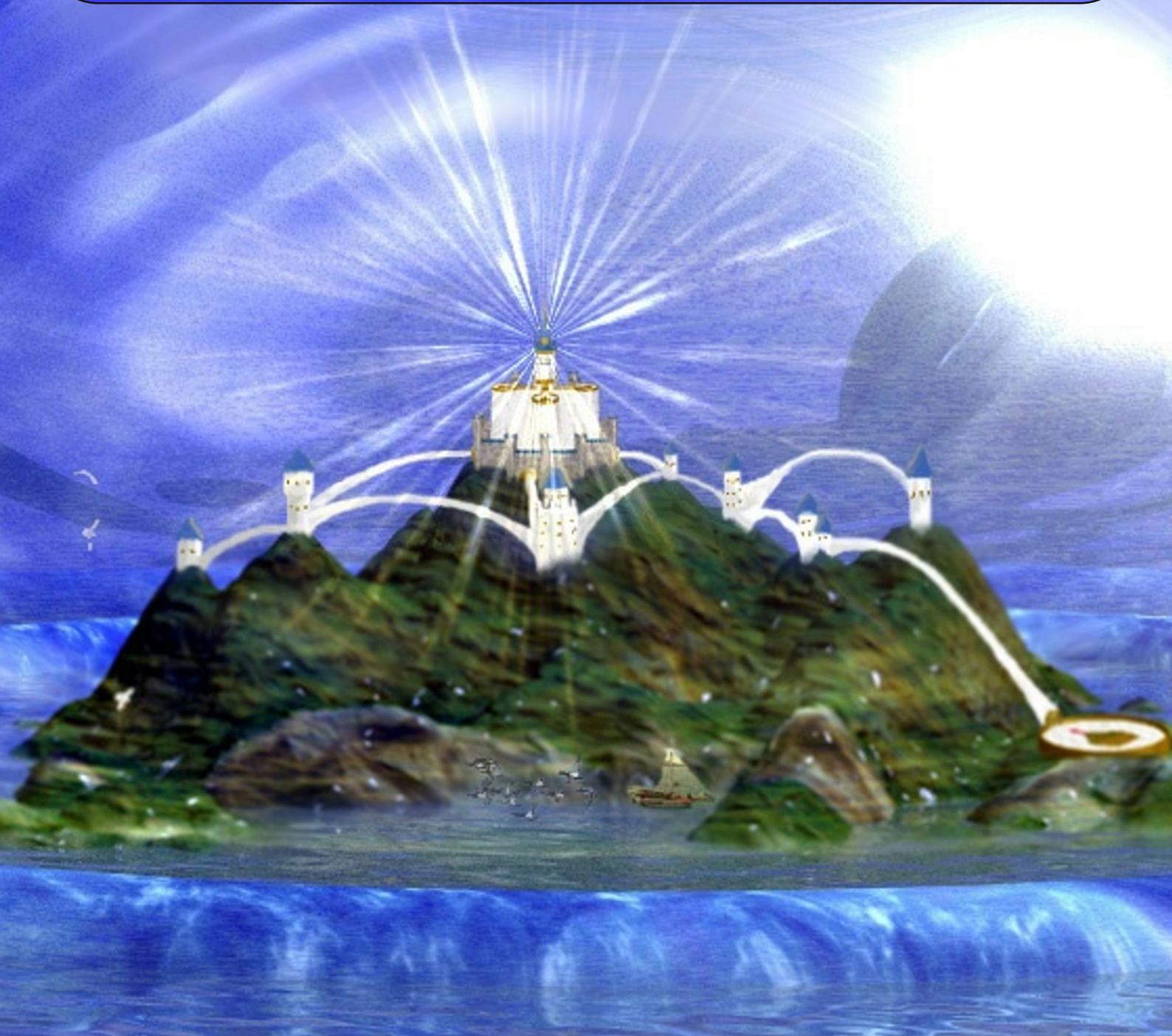
Więcej informacji w dziale KONKURSY.

## ***Piszcie do nas!***

W związku z rozwojem czasopisma Via Appia umożliwiamy Wam, drodzy Czytelnicy, możliwość współtworzenia treści publikowanej w magazynie. Jeżeli masz pomysł na ciekawy artykuł, byłeś uczestnikiem jakiegoś wydarzenia kulturalnego, społecznego lub artystycznego, chciałbyś podzielić się wrażeniami na temat jakiejś książki, filmu lub np. spektaklu teatralnego, napisz do nas! Umożliwimy Ci publikację w najbliższym numerze, co sprawi, że Twój tekst zobaczy szersze grono publiczności, a Tobie zapewni chwałę i glorię po wsze czasy ;). Więcej informacji na stronie głównej forum.



# NIEMYJAŚNIONE ZAGADKI PRZESZŁOŚCI





**EWA LASOTA**

## ATLANTYDA OCZYMA PLATONA

**A**tlantyda, mityczna kraina, której poszukiwania cały czas trwają, przez wieki budziła mnóstwo kontrowersji. Miejsca, gdzie mogłaby się znajdować, rozsiane są po całym świecie, od Południowej Ameryki, przez Morze Śródziemne, na Antarktydzie kończąc. Szeregi badaczy i naukowców spędzają całe lata na próbach odnalezienia szczątków zaginionej, wysoko rozwiniętej cywilizacji.

Osobą, która szczegółowo opisała zaginioną krainę, był Platon. Tysiące lat temu napisał kilka prac dotyczących

Atlantydy, obrazując jej geografię, klimat, politykę i społeczeństwo. Nie wiadomo, skąd w istocie czerpał informacje. On sam twierdził, iż opierał się na ustnie przekazywanych podaniach ateńskiego rodu Solona, oni z kolei zapamiętali historie opowiadane przez egipskich kapłanów. Ile w tym jest prawdy? Zapaleni poszukiwacze mają nadzieję, że wszystko jest zgodne z faktami, sceptycy z kolei doszukują się w dziełach Platona przedstawienia jego własnej wizji utopijnego społeczeństwa.

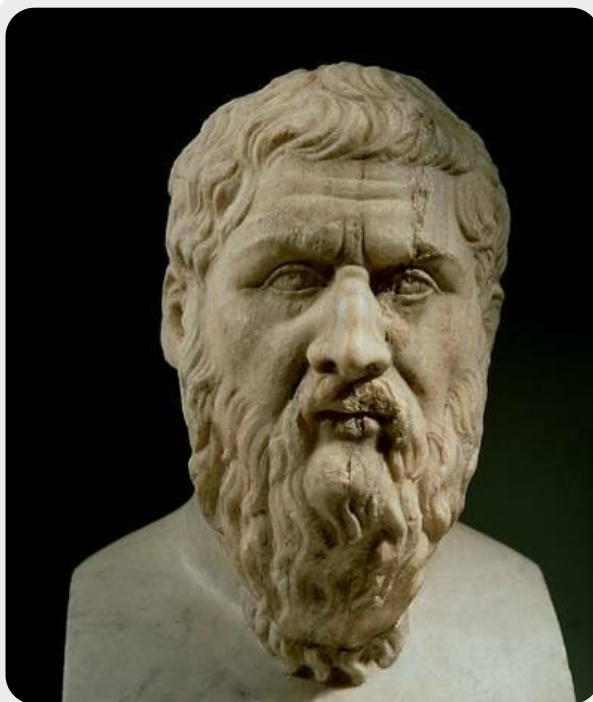
Pierwszy opis Atlantydy występuje w dziele Platona pt. Timaios. Jest to stenogram z rozmowy, jaką odbył Arystokles wraz z Kitiasem Młodszym, Tiamaiosem oraz Hermokratesem. Spotkanie odbyło się w domu Kitiasa Młodszego, toteż jemu pierwszemu po-

zwolono zabrać głos, a on streścił historię wielce dziwną, lecz ze wszelkiego miar, jak twierdził, prawdziwą. Opowiadał o Solonie, który w VI w. p.n.e. podczas swojej podróży do Egiptu miał okazję rozmawiać z najznajomniejszymi egipskimi mędrkami. Był bardzo ciekaw ich opo-

wieści, lecz w swej mądrości zdawał sobie sprawę, iż nie wyjawia obcemu najpilniej strzeżonych sekretów, toteż użył podstępów. Jął prawić o najdalszej, sięgającej czasów bogów i heroów historii Hellady, popisując się hel-

leńskimi dokonaniem i swymi oratorskimi wdziękami. Egipcjanie, kiwając z politowaniem głowami uśmiechali się drwiąco wiedząc, że sami mogą opowiedzieć o czasach jeszcze bardziej zaprzeczonych. W końcu, ku pokrzepieniu własnej pychy i ukazaniu Grekowi mierności jego wiedzy historycznej, bardzo stary kapłan opowiedział Solonowi o Atlantydzie. Według słów Egipcjanina to właśnie tam narodziła się kultura grecka.

"My tu mamy zapisanych i podziwiamy wiele wielkich czynów waszego państwa - a jeden z nich przewyższa wszystkie inne wielkością i dzielnością. Pisma nasze mówią, jak wielką niegdyś państwo wasze złamało potęgę, która gwałtem i przemocą szła na całą Europę i Azję. Szła z zewnątrz z Morza Atlantyckiego. Wtedy to morze tam by-





ło dostępne dla okrętów. Bo miało wyspę przed wejściem, które wy nazywacie 'Słupami Heraklesa'. Wyspa była większa od Libii i od Azji razem wziętych. Ci, którzy wtedy podróżowali, mieli z niej przejście do innych wysp. A z wysp była droga do całego lądu, leżącego naprzeciw, który ogranicza tamto prawdziwe morze...

Otóż na tej wyspie, na Atlantydzie, powstało wielkie i podziwu godne mocarstwo pod rządami królów, władające całą wyspą i nad wieloma innymi wyspami i częściami lądu stałego. Oprócz tego, po tej stronie, tutaj oni panowali nad Libią aż do granic Egiptu i nad Europą aż po Tyrrenię. Więc ta cała potęga zjednoczona próbowała raz jednym uderzeniem ujarzmić wasz i nasz kraj, i całą okolicę Morza Śródziemnego. Wtedy to, Solonie, objawiła się wszystkim ludziom potęga waszego państwa: jego dzielność i siła. Wasze państwo stanęło na czele wszystkich, zachowało równowagę ducha, rozwinęło sztuki wojenne i już to na czele Hellady, już to odosobnione, bo inni je opuścili z konieczności, w skrajne niebezpieczeństwo popadło, jednak pokonało najeźdźców i wzniosło pomnik zwycięstwa; nie pozwoliło ujarzmić tych, którzy jeszcze nie byli ujarzmieni i nam wszystkim, którzy zamieszkujemy po tej samej stronie 'Słupów Heraklesa', zachowało wolność, nie zazdroszcząc jej nikomu. Później przysły straszne trzęsienia ziemi i potopy i nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna - wtedy całe wasze wojsko zapadło się pod ziemię, a wyspa Atlantyda tak samo zanurzyła się pod powierzchnią morza i znikła." <sup>1</sup>

Kiedy to było? Zagłębiając się w lekturze platońskiego dialogu Kritias dowiadujemy się, iż kapłan mówił o dziewięciu tysiącach lat wstecz. "Więc przede wszystkim wspomnijmy, jak to głównie o to szło, że dziewięć tysięcy lat minęło, odkąd podanie przekazało wojnę między tymi, co mieszkali poza 'Słupami Heraklesa', a tymi wszystkimi

co po naszej stronie".<sup>2</sup> Czyli według naszej rachuby czasu Atlantyda istniała przeszło jedenaście tysięcy lat temu! Zdaje się, że kapłani dokładnie określili lokalizację zaginionych królestw, lecz badania naukowe nie są w stanie odnaleźć jednoznacznego potwierdzenia tej tezy.

Według prastarych podań bogowie podzielili między siebie ziemię, morza i niebo. I tak Atlantyda przypadła w udziale Posejdonowi. Na wyspie mieszkali jedni z pierwszych ludzi, Euenor z poślubioną mu Leukippą. Mieli jedną jedyną córkę, Kleito, którą bóg mórz sobie upodobał. Dziewczę było na wydaniu, gdy jej rodzice pomarli, więc Posejdon wziął ją w opiekę, tworząc dla niej piękną wyspę, odgradzoną od mórz górami. Spłodził z Kleito pięć par bliźniąt płci męskiej i podzielił wyspę na dziesięć królestw, z których każde przypadło jednemu z synów. „Spośród najstarszych pierworodnemu matczyną siedzibę i cały dział okoliczny - a ten był największy i najlepszy - przydzielił i ustanowił go królem nad innymi. Innych też uczynił panami. Każdemu dał panowanie nad wieloma ludźmi i nad rozległą ziemią. I wszystkim ponadawał imiona. Najstarszemu i królowi to, od którego cała wyspa i morze nazwę dostało - ono się nazywa Atlantyckie, dlatego że pierwszy król, panujący wtedy, miał na imię Atlas. Bliźniak, który razem z nim przyszedł na świat, dostał jako przydział przylądek wyspy od Słupów Heraklesa po dzisiejszą Ziemię Gadeirycką. Ona się tak nazywa według tamtej ziemi. On się po helleńsku nazywał Eumelos, a w języku tubylców Gadeiros. Jego imię dało nazwę okolicy. Jednego z dwóch następnych bliźniaków nazwał Auferesem, a drugiego Eujmonem. Z trzeciej pary pierwszy nazywał się Mneseas, a następny Autochton. Z czwartej pary pierwszy nazywał się Elasippos, a późniejszy Mcsior. Z piątej pierwszemu nadał imię Azaes, a późniejszemu Diaprepes. Ci wszy-

szy sami oraz ich potomkowie przez szereg pokoleń tam mieszkali i panowali nad wieloma innymi wyspami na morzu, a oprócz tego, jak się i przedtem mówiło, panowanie ich sięgało aż po Egipt i Tyrrenię i obejmowało ziemie po tej stronie Słupów Heraklesa. Atlasa ród był zresztą liczny i sławny. Królem był zawsze najstarszy i najstarszemu z rodu przekazywał władzę. W ten sposób przez wiele pokoleń utrzymali władzę królewską. Bogactwo posiadali tak olbrzymie, jakiego ani przedtem nigdy w żadnym królestwie nie było, ani jakie też kiedykolwiek później łatwo nie powstanie. Byli zaopatrzeni we wszystko, czego było potrzeba w mieście i w reszcie kraju. Wiele dóbr przychodziło do nich z zewnątrz, bo mieli władzę, a najwięcej ich dostarczała wyspa sama dla zaspokojenia potrzeb życiowych.”<sup>3</sup> Tak więc w żyłach obywateli Atlantydy płynęła boska krew, co predystynowało ich do wielkich czynów.

W swoich dziełach Platon dokładniej opisuje tylko stolicę głównej prowincji, podległej Atlasowi i jego potomkom. Według jego relacji miasto stało na planie koła; w centrum znajdował się zamek królewski, który „w tej siedzibie boga i przodków zrazu urządzili po prostu, a później go jeden po drugim dziedziczył i to, co już było ozdobione i porządne, jeszcze porządkował i zdobił, i przewyższał świetnością poprzednika, aż w końcu wykończyli gmach zdumiewający oko wielkością i piękną robotą.”<sup>4</sup> W stolicy, konkretniej w zamku królewskim, znajdowała się również przewspaniała świątynia Posejdona i Kleito. „A świątynia samego Posejdona była długa na jeden stadion, a szeroka na trzy pletry, wysokość miała na oko odpowiednią do tych rozmiarów, ale bóg miał wygląd nieco barbarzyński. Całą świątynię pomalowali po wierzchu srebrem z wyjątkiem naszczytników. Naszczytniki były złoczone. Wewnątrz widniał sufit z kości słoniowej

całą, złotem, srebrem i mosiądzem urozmaicony. Zresztą wszystkie mury i słupy, i posadzki wyłożyli mosiądzem. I złote posągi postawili w środku, więc boga, który stał na wozie i powoził sześcioma końmi skrzydlatymi. Był taki duży, że głową pułapu dotykał, a naokoło niego setka Nereid na delfinach.”<sup>5</sup> Kunszt Atlantydów był niezrównany – wszystko, co tworzyli było piękne i doskonałe. Wyspa dostarczała im zarówno kruszców, jak i pożywienia. Dostatnio żyło się wszystkim, od królów aż po chłopów. Ziemię zamieszkiwały rozmaite zwierzęta, zarówno hodowlane jak i dzikie, co roku zbierano obfite plony. Wody było pod dostatkiem, zarówno zimnej, jak i gorącej, bijącej z gorących źródeł, na bazie których budowano łaźnie. „I źródeł używali, jednego z zimną, a drugiego z ciepłą wodą i one były bardzo obfite. Jedno i drugie miało wodę przyjemną i zdrową, więc przedziwnie się nadawały do użycia. Oni je otoczyli architekturą i posadzili naokoło drzewa wodom odpowiednie i porobili naokoło sadzawki, jedne pod gołym niebem, a drugie zimowe, pod dachem, dla ciepłych kąpiel. Osobno królewskie, a osobno dla zwykłych ludzi. A jeszcze dla kobiet inne, a inne dla koni i dla innych zwierząt pociągowych, dając każdemu urządzenie celowe i wygodne. A spływającą wodę poprowadzili do gaju Posejdona, gdzie rosły różne drzewa piękne i wysokie przedziwnie, bo taka tam była dobra ziemia. I odprowadzali wodę kanałami po mostach do okręgów zewnętrznych.”<sup>6</sup> Jak więc widać, była to cywilizacja wysoce rozwinięta, która nie tylko składała się ze świetnych architektów, potrafiących budować kolosalne budynki, ale i ze zmyślnych inżynierów, doskonale znających tajniki kanalizacji i to na przeszło dziewięć tysięcy lat przed Chrystusem!

„Z tych dziesięciu królów każdy panował w swojej części i w swoim miejscu nad ludźmi i nad większą częścią praw. Karał i skazywał na śmierć



kogo chciał. Jednakże ich zależność wzajemna i stosunki między nimi były ustalone według nakazów Posejdona, jak im to prawo przekazało i pismo, które przodkowie wyryć kazali na słupie mosiężnym, który na środku wyspy stał w świątyni Posejdona. Oni się zbierali co pięć lat albo na przemian co sześć, oddając równą część liczbie parzystej i nieparzystej, a zebrawszy się, naradzali się nad sprawami wspólnymi, dochodzili, czy ktoś jakiegoś przestępstwa nie popełnił, i odbywali sądy.”<sup>7</sup> Ten krótki fragment *Kritias* ukazuje nam rzecz zdumiewającą: „jak im prawo przekazało i pismo, które przodkowie kazali wyryć na słupie mosiężnym” – Atlantydzii mieli spisane prawo na długo przed kodeksem Hammurabiego, uważanego za jeden z pierwszych, a na pewno najlepiej zachowany spisany zbiór obowiązujących norm. Przypomnijmy, że szósty przedstawiciel pierwszej dynastii Babilonu żył w XVIII wieku p.n.e., czyli nieomal siedem tysięcy lat PO Atlantydach! Oczywiście, są wcześniej spisane prawa, niż Kodeks Hammurabiego, chociażby kodeks Urukaginy, datowany na pierwszą połowę XXIV wieku p.n.e., kodeks UrNammu z przełomu XXII i XXI wieku p.n.e., kodeks Bilalamy z Eszunny spomiędzy XXI i XX wieku p.n.e. czy kodeks Lipit – Isztara z XX wieku p.n.e., ale nawet najstarszy z nich jest zdecydowanie młodszy od atlantyckiego. Co oznacza, że społeczeństwo Atlantydy nie tylko przodowało w dziedzinach rzemieślniczych, ale stanowiło również zwarte państwo, z własnym ustawodawstwem i sądownictwem. Oczywiście daleko tutaj do sądownictwa inkwizycyjnego, które wprowadziło pojęcie domniemania niewinności, rozdzielność funkcji sędziego i oskarżyciela oraz szereg innych prawnych zagadnień, tym niemniej zdumiewająca jest polityczna organizacja tej zaginionej cywilizacji.

Cywilizacja Atlantydy była bez wątpienia utopią, opierającą się na po-

zytywnych cechach ludzi, ich mądrości, prawości, honorze, oddaniu i nieskazitelności charakteru. „(...) zło-tymi czarami czerpali z wazy wino i skrapiając nim ogień przysięgali, że będą sędzić według praw na słupie i wymierzać kary, jeżeliby się ktoś przedtem dopuścił jakiegoś przestępstwa, a na przyszłość żadnego przepisu dobrowolnie nie przestąpią i ani sami rządzić, ani radzącego słuchać nie będą, jak tylko w tym wypadku, jeżeli będzie wydawał zarządzenia zgodne z prawami ojca.”<sup>8</sup> To krótki fragment opisujący przygotowania do rozpoczęcia obrad sądu. Jak widać boska rola była dominująca w całej społeczności, ponieważ wino zmieszane było z krwią byka złożonego w ofierze Posejdonowi. Ponadto nikt nie stał ponad prawem, dotyczyło ono każdego obywatela w taki sam sposób. „Tam było wiele różnych praw jednostkowych w związku z przywilejami poszczególnych królów, a najdonioślejsze prawa zabraniały im kiedykolwiek podnosić broni przeciw drugiemu, a zobowiązywały wszystkich do pomocy wzajemnej, gdyby może ktoś w jakimś mieście próbował wytracić ich ród królewski. Więc u nich wspólnie, podobnie jak u ich przodków, odbywały się narady i zapadały uchwały o wojnie i o innych sprawach i tak zachowywał hegemonię ród atlantycki.”<sup>9</sup> Na tej podstawie można śmiało wysnuć tezę, iż Królestwa Atlantydy były powiązane w konfederację – związek państw utworzony dla osiągnięcia wspólnych celów, w którym żadne królestwo nie jest wysuwane przed inne, stowarzyszenie działało na zasadach pełnej równości. Silnie również dbano o zachowanie linii krwi Posejdona i Kleito.

Jak to się stało, że tak prześwietna kultura upadła? To pytanie zadają sobie badacze od setek lat i nikt nie zdołał odnaleźć jednoznacznej odpowiedzi. *Kritias* jest dziełem jakby urwanym, toteż na jego podstawie na pewno nie można powiedzieć nic. Jed-

## TEMAT NUMERU - NIEWYJAŚNIONE ZAGADKI PRZESZŁOŚCI

nak pozostawia dość jasne i klarowne sugestie, dotyczące przyczyn katastrofy. Na dziesięciu tronach zasiadali potomkowie Posejdona. W ich żyłach płynęła boska krew. Im bliżej było Posejdona, tym pierwiastek boskości był bardziej dominujący, jednak z czasem krew osłabła. Platon opisywał dynastię rządzącą następująco: „Przez wiele pokoleń, pokąd im starczyło natury boga, słuchali praw i odnosili się życzliwie do bóstwa, którego krew w nich płynęła. Ich postawa duchowa nacechowana była prawdą i ze wszech miar wielkością. Łagodność i rozsądek objawiali w stosunku do nieszczęść, które się zawsze zdarzają i w stosunku do siebie nawzajem, więc patrzyli z góry na wszystko z wyjątkiem dzielności, wszystko, co było w danej chwili, uważali za drobiazg i lekko znosili, jakby ciężar, masę złota i innych dóbr; nie upajali się zbytkiem i bogactwo ich nie zaślepiało i nie prowadziło do utraty panowania nad sobą. Bardzo trzeźwo i bystro dostrzegali, że i to wszystko pod wpływem miłości wzajemnej przy dzielności wzrasta, a jeśli te rzeczy brać serio i cenić, wtedy one giną, a z nimi razem ginie miłość i dzielność. Dzięki takiemu wyrachowaniu i dlatego, że w nich trwała natura boska, wzrastało u nich to wszystko, cośmy poprzednio przeszli. Ale kiedy w

nich cząstka boża wygasła, dlatego że się często z wieloma pierwiastkami ludzkimi mieszała, ludzka natura zaczęła brać górę, wtedy już nie umieli znosić tego, co u nich było, zrobili się nieprzyzwoici i kto umiał patrzeć, ten widział już ich brzydotę, kiedy zatracali to, co najpiękniejsze, pośród największych dóbr. Tym, którzy nie potrafili dojrzeć życia naprawdę szczęśliwego, wydawało się właśnie wtedy, że są osobiście piękni i szczęśliwi, kiedy ich napełniała chciwość niesprawiedliwa i potęga.”<sup>10</sup> Tak więc chciwość i zazdrość zagościły w czyistych i prawych dotąd sercach. Według platońskiego dzieła sam Zeus zauważył zepsucie i wraz z innymi bogami postanowił ukarać Atlantydwów za ich pychę, zsyłając na nich potop.

A jak było naprawdę? Niestety, tego w najbliższym czasie raczej się nie dowiemy...

- 1 Platon, TIMAIOS, str. 5
- 2 Platon, KRITIAS, str. 2
- 3 Ibidem, str. 4
- 4 Platon, KRITIAS, str. 4
- 5 Ibidem, str. 5
- 6 Ibidem, str. 5
- 7 Ibidem, str. 6
- 8 Ibidem, str. 6
- 9 Ibidem, str. 6
- 10 Ibidem, str. 6





## KAROLINA CHOJNACKA KRĄG TAJEMNIC

**P**rawie każdy, kto podróżował po Wielkiej Brytanii trafił w końcu do hrabstwa Salisbury, słynącego z kręgu megalitycznego. Stonehenge, bo o nim mowa, jest prawdopodobnie najstarszym zabytkiem Zjednoczonego Królestwa. Od lat stanowi zagadkę i przedmiot badań dla naukowców z całego świata. Nasza dzisiejsza wiedza opiera się głównie na domysłach.

W historii pozostaje wciąż wiele białych plam. Niewykluczone, że nigdy nie zostaną zapełnione. Na samym po-

raz wybitnie zasłużonych wojowników. System tych jam znany jest pod nazwą Pierścienia Aubreya. Mniej więcej w tym samym czasie ustawiono też Heelstone, pojedynczy głaz usytuowany na północny wschód od wejścia.

Rozpoczęcie kolejnego etapu datuje się na ok. 2150 r.p.n.e. Obejmował przetransportowanie z oddalonego o ok. 250 km Preseli 80 dolerytów – błękitnych skał wulkanicznych - i ustawienie ich w dwa niepełne kręgi. Wtedy wytyczono także aleję prowadzącą do kręgu, która, jak zauważono, obrazuje wschód słońca w czasie najdłuższego dnia w roku.

Ostatni etap budowy, mający miejsce ok. 2000 r. p.n.e. polegał na przeniesieniu 30 błękitnych kamieni do wnętrza kręgu, tworząc z nich małą podkowę. Po zewnętrznej stronie dolerytów ustawiono



czątku warto wspomnieć o źródłosłowie nazwy. Stonehenge oznacza „Kamenną Szubienicę”, jak nazywali to przedziwne miejsce Saksonowie. W średniowieczu bardziej popularne było poetyckie określenie „Taniec Giganta”. Jak i kiedy...?

Budowa kręgu przebiegała etapami. Pierwszy datuje się na 3000 rok przed narodzeniem Chrystusa. Polegał on na wykopaniu wału ziemnego i rowu oraz ustawieniu w jego centrum jednego megalitu – Altar Stone.

Zewnętrzna część kręgu mieściła pięćdziesiąt sześć dołów głębokich na metr, których przeznaczenia możemy się tylko domyślić. Najprawdopodobniej były to miejsca wiecznego spoczynku dla wodzów, szamanów

nowy krąg o promieniu 30 metrów składający się z monolitów zwanych Sarcenami, które przykryto poprzecznymi głazami umocowanymi dzięki wystającym zaczepom.

We wnętrzu kręgu wzniesiono 5 trylitów ustawionych w podkowę. Każdy z kamieni waży ok. 50 ton, więc ich przemieszczanie stanowiło nie lada wyzwanie dla budowniczych.

Czym różni się Stonehenge od innych kręgów monolitycznych? Jest jedyną budowlą tego typu, w której głazy poddano obróbce. Każdy z tych ogromnych bloków skalnych jest ociosany w kształt ostrosłupa z trójkątem w podstawie. Na niektórych wyryto wizerunki narzędzi codziennego użytku, takie jak topory czy noże.

## TEMAT NUMERU - NIEWYJAŚNIONE ZAGADKI PRZESZŁOŚCI

Zagadką pozostaje sposób, w jaki przetransportowano te ogromne głazy. Nawet współcześnie byłoby to nie lata przedsięwzięcie logistyczne. Czyżby starożytni mieszkańcy Wielkiej Brytanii posiadali aż tak rozwiniętą technikę? Wszak największe z kamieni ważyły nawet 50 ton i mierzyły do 9 metrów.

śnie, czcili pośród monolitów przesilenie letnie. W 1985 roku władze zabroniły kultywowania tej tradycji, argumentując swoją decyzję obawą przed zniszczeniem obiektu.

Stonehenge pozostawia więcej pytań niż odpowiedzi. Specjaliści spierają się nawet co do przeznaczenia tej megalitycznej budowli. Pewne jest, że służyła



Dlaczego..?

Pierwsza wzmianka o kręgu pochodzi z 480 roku i znajduje się w dziele *Chronicle of the World*, którego autorstwo przypisuje się mitycznemu Merlinowi z legend arturiańskich. Jak wyjaśnia fenomen transportu tak wielkich głazów? Wspomina o pierścieniu irlandzkiego olbrzyma. Choć śmiem wątpić w taką hipotezę, do dziś nauka nie jest w stanie tego wyjaśnić. Mistycyzm tkwiący w tajemniczej konstrukcji od wieków inspiruje do tworzenia niezliczonych legend na jej temat. Jedna z nich mówi o magicznym powstaniu kręgów, przypisywanemu właśnie Merlinowi. Inna opowiada historię kamienia Heelstone, którym diabeł rzucił w ukrywającego się w kręgach mnicha, przyniatając mu piętę i unieruchamiając kapłana. Tajemnica miejsca przyciągnęła także druidów, którzy zarówno w zamierzonych czasach, jak i współcześnie,

za cmentarzysko. Niezbicie świadczą o tym znaleziska archeologiczne. W samym kręgu odnaleziono szczątki i przedmioty należące do znacznie większych członków społeczności, natomiast dookoła pogrzebani zostali budowniczowie. Po wnikliwych badaniach kości i pozostałości szkliska nazębnego naukowcy orzekli, że twórcami kręgu są Walijczycy.

Znaczna część naukowców skłania się ku przypuszczeniu, że krąg pełnił dwojaką funkcję. Sposób umiejscowienia wejść i charakterystyczne kształty oraz przedmioty odnajdywane w czasie prac wykopaliskowych wskazują niezbicie, że odbywały się tam obrzędy ku czci Słońca i Księżycy. Pokutuje wśród ludzi pogląd, że kapłanami, którzy opiekowali się i polecili wznieść Stonehenge, byli druidzi. Jednak wiarygodne źródła pisane informują, że



## TEMAT NUMERU - NIEWYJAŚNIONE ZAGADKI PRZESZŁOŚCI

druidzi pojawili się na tych terenach znacznie później, co wyklucza tę hipotezę.

Wielu astronomów twierdzi, że zna tajemnicę kręgu. Konfiguracja kamieni ma ilustrować wzajemne położenie Słońca, Księżyca i innych ciał niebieskich. Oznaczałoby to, że Stonehenge to coś w rodzaju kalendarza lub kalkulatora do astronomicznych obliczeń.

Oczywiście prócz teorii naukowych i pseudonaukowych powstało wiele spiskowych, dotyczących kromlechów. Między innymi za sprawą rosnącej popularności książek Ericha von Dänikena coraz szersze kręgi zatacza przekonanie, że Stonehenge powstało za sprawą istot pozaziemskich i stanowi swoisty komunikat dla rasy ludzkiej. Wolfgang Feix poddał analizie wielkości i odległości pomiędzy obiektami monumetu i stwierdził, że w Stonehenge zaszyfrowany jest "adres" miejsca w kosmosie. Jest to planetoida 16 Psyche. Autor „Rozbitków Arki Noego”, Ryszard Wiener stawia inną hipotezę. Twierdzi, że to drogowskaz dla załogi obcego statku. Według niego swego czasu kosmici dokonywali masowych eksploracji Ziemi i wywozili z niej zasoby metali ciężkich, które miały posłużyć do odbudowy ich ojczystej planety, która w wyniku wojny lub katastrofy naturalnej (tutaj autor nie jest przekonany) została niemal doszczętnie zniszczona.

Nie brakuje do dziś także zwolenników pomysłu, że Stonehenge, zarówno w starożytności jak i współcześnie, ma moc uzdrowicielskie. Corocznie pielgrzymują tam tysiące osób w poszukiwaniu dobrej energii. Twierdzą, że kamienie, z których składa się krąg, emitują niemal wyczuwalną siłą, zdolną

leczyć najcięższe choroby.

Godny wspomnienia jest efekt badań zespołu uczonych z Vancouver, który spisany został w dziele „Archeoakustyka: Czy starożytne cywilizacje wykorzystywały akustykę budując miejsca odprawiania rytuałów?”. Według nich kamienny krąg powstał, by badać zjawisko interferencji akustycznej, czyli mówiąc prościej, nakładania się dźwięków. Podobno w niektórych zapiskach starożytnych nazywano je kamieniami flecistów. Na czym polegał eksperyment uczonych? Otóż w dwóch odległych od siebie miejscach wewnątrz kręgu ustawiono dwie osoby grające na flecie tę samą melodię. Obserwator poruszając się między nimi miał wrażenie, że muzyka to cichnie, to staje się głośnie, jakby dźwięk był blokowany przez niewidzialne zapory. Wyjaśnienie tego zjawiska jest dziecinnie proste. Dwie fale dźwięku o tej samej częstotliwości spotykają się i albo się wzmacniają, albo wzajemnie wygaszają.

Ostatnia hipoteza nie zyskała wielu zwolenników, ale kto dzisiaj może powiedzieć jak rzeczywiście było? Być może ten najbardziej absurdalny pomysł był tym trafionym? Może kiedyś się tego dowiemy. Póki co, Stonehenge obrasta legendami, cieszy się ogromną popularnością i pozostaje jedną z wielu niewyjaśnionych zagadek naszej planety.



**EWA LASOTA**

## SZALEŃSTWO W SALEM

**B**racia zakonni mówili mi, że byłeś bardzo uparta w swoich próbach spotkania się ze mną. Doceniam twój trud i ofiarę cierpliwości. Słucham cię, siostró. – czterdziestokilkuletni mężczyzna spojrzał przenikliwie na leciwą kobietę o czerstwej, chłopskiej twarzy. Niewiasta spuściła wzrok i zmięła rąbek zgrzebnej sukienki w brudnych paluchach.

- Nie mogę już dłużej żyć w kłamstwie, panie... – Inkwizytor nawet się nie poruszył, chociaż była pewna, że zaraz usłyszy, iż od odpuszczania grzechów jest ksiądz, a nie Święte Oficjum. Repremenda nie nadeszła, więc ośmieliła się podnieść oczy, w których lśniły łzy.

- Słucham cię. Po to tu jestem. – Tym zdaniem "Miecz Kościoła" zburzył znany Ann obraz inkwizycji. Nasłuchiwała się o strasznych, katolickich potworach, tymczasem mężczyzna siedzący naprzeciw niej starał się być tak dobroduszny, jak to tylko możliwe. Zwłaszcza w przypadku osoby, która przez większą część życia walczyła ze złem.

- Nazywam się Ann Putman, panie. Jestem z Salem. – Inkwizytor drgnął niespokojnie. Znał historię biednych duszyczek, które zostały posłane na stos przez nadgorliwych protestanckich odszczepieńców – Jestem tu po to, by zrzucić ciężar przyniatający moje serce. Chcę ci, panie, opowiedzieć prawdę o tym, co zdarzyło się w Salem w 1692 roku.

Wszystko zaczęło się od córki pastora, Betty Paris i jej kuzynki, Abigail Williams. Dziewczęta zapadły na jakąś niecodzienną chorobę, tak przynajmniej ja to widziałam. Zdarzało się, że dopadały je drgawki, w czasie których nieomal odchodziły od zmysłów. Wioskowy felczer odwiedził panienki parokrotnie, lecz ponoć ich rodzice nie podawali córkom zalecanych ziół. Za przyczynę nie uznawali niemocy, lecz

czary. Z czasem Betty i Abigail same zaczęły mówić, iż rzucono na nie urok. Nikt nie podważał prawdziwości ich słów, wszak Betty była córką pastora. To samo w sobie stanowiło rękojmię.

Inkwizytor wyprostował się na wysokim krześle i spojrzał z góry na kobietę. - Mówisz gładkimi słowami, jednak nie wyglądasz ani na mieszczkę, ani tym bardziej na ziemiankę – skwitował. Ann zarumieniła się i ponownie zgmiotła fałdę sukni w dłoniach.

- W tamtych czasach moja rodzina należała do zanego, jak mi się wtedy wydawało, grona właścicieli ziemskich, choć nieco podupadała na znaczeniu. Stąd moja biegłość w mowie, panie. – Zamilkła i dopiero po chwili powróciła do przerwanej opowieści - W kilkanaście lat później, gdy Pan przemówił w moim sumieniu, porzuciłam rodzinne strony, nie mogąc znieść wspomnień tragicznych wydarzeń, których również byłam przyczyną. Ale proszę, pozwólcie mi opowiedzieć po kolei jak było, inaczej mój wywód będzie chaotyczny i zupełnie bełkotliwy, a mnie zależy, byście dokładnie pojęli wszystko, co mówię. – Po raz pierwszy spojrzała prosto w szare oczy mężczyzny.

W tym spojrzeniu taił się niezgłębiony żal, a jednocześnie stalowa determinacja. Zakonnik gestem dłoni nakazał jej kontynuować.

- Dziewczęta oskarżyły o rzucenie uroku Sarę Goods, Sarę Osborne i Murzynkę, Titubę. Sara Goods w zasadzie znana była wszystkim w okolicy, każdy się na nią kiedyś natknął, gdy żebrała, a to przy kościele, a to na rynku, czy w pobliżu ratusza. Sara Osborne z kolei, była starą kobieciną, której wiek nieco namieszał w głowie. Wiecznie zgarbiona, trochę zrędlawa staruszka nie przebiegała nigdy w słowach i zawsze mówiła to, co ślina jej na język przyniosła.. Wszystkie niedługo później zosta-



ły osadzone w więzieniu. Przesłuchiwano je przez długie godziny. W końcu Tituba przyznała się, że jest czarownicą i rzuca uroki. Mało tego, wymieniła całkiem sporo osób z naszego miasteczka, które ponoć również parały się czarostwem. Byłam bardzo zaskoczona, ale wtedy, jako dwunastoletnia niespełna dziewczynka, nie do końca rozumiałam, co skłoniło ją do samobójczych zeznań. Teraz się tego domyślam. Wydaje mi się, że Tituba wolala zostać powieszoną, niż zachłostać na śmierć przez swoich właścicieli, którym jej oskarżenie zszargało opinię. Jeśli myślicie, że na tym się skończyło, jesteście w błędzie. Po waszej minie widzę, że znacie sprawę, jednak nie tak dobrze jak ja. Wy tylko o wszystkim czytaliście, ja natomiast byłam tam i mówię, co widziałam.

Nie wiem, czym kierował się pastor twierdząc, że te trzy kobiety są czarownicami. Ale pierwszy proces pociągnął za sobą następny i następny, aż prawie sto osób zostało oskarżonych o czary. Po śmierci Tituby zmienił się pogląd na skazania. Dziwne było to, że jeżeli ktoś się do winy przyznał, wówczas wypuszczano go na wolność, jeżeli jednak uparcie twierdził, iż z czarnoksięstwem nie ma nic wspólnego, wówczas szedł na szubienicę. Patrzycie na mnie ze zdziwieniem; też kiedyś myślałam: „Czemu nie przyznają się do bycia wiedźmami, wówczas nikt nie uczyni im krzywdy”. Ale teraz rozumiem; gdyby tak uczyniły, ich życie byłoby stokroć gorsze niż śmierć. Nie da się w tak małej miejscowości, jaką jest Salem, żyć spokojnie z piętnem czarownicy. A żadna z nich nie miała do kąd pójść.

W końcu sam pastor powiedział: „dość”. I skończyło się to dlań tragicznie – sam zawisł obok krnąbrnych wiedźm za to, iż nie chciał ich więcej aresztować. Pamiętam, że większość zarzutów przedstawiono kobietom. Albo takim, które były stare, nierzadko schorowane, albo żyjącym bez mężczyzn i

doskonale dającym sobie radę. Wiecie przecież, iż nie uchodzi, by niewiasta żyła bez męża; jeśli jest wdową, to jakiś męski członek rodziny powinien się nią opiekować. A one żyły całkowicie samodzielnie, bez niczyjej pomocy, co chyba mocno kłuło w oczy tych, którzy wiedli żywot wedle ustalonych przed wiekami reguł.

Zdarzyło się kiedyś, że pewien farmer pokłócił się z Martha Carrier, wdową samotnie wychowującą działawę. Ponoć w kilka dni później zdechło kilka jego krów, ale nie sądzę, by było to skutkiem uroków, jak mówił. Moim zdaniem sam otruił krowy, by obarczyć winą Marthę, która jakiś rok wcześniej odrzuciła jego konkury. Nie wiem, co obiecał dzieciom Marthy, że te same zeznawały przeciwko matce, twierdząc że ta uczyła ich tworzenia magicznych wywarów i rzucania klątw. To była straszna tragedia. Marthę powieszono, działawę pozostawiono samą sobie. Skończyli jako koteria żebraków.

Najbardziej wstrząsnął mną proces Gilesa Coreya. Giles był bardzo stary. Nie wiem dokładnie, kto oskarżył go o czary – czy był to jakiś sąsiad, czy ktoś zeznał przeciw niemu w przesłuchaniu. Dość, że sam stał się podejrzanym. I za nic w świecie nie chciał się przyznać. Z żelazną konsekwencją upierał się, że z wiedźmieniem nie ma nic wspólnego. Skazano go na śmierć. Ale nie założono mu pętli na szyję. Zrobiono mu coś stokroć gorszego... Ann zamilkła, a jej wątłym ciałem wstrząsnął szloch. Inkwizytor położył kobiecie dłoń na ramieniu, chcąc dodać otuchy. Przełknęła łzy i wyszeptała:

– Zmiażdżono jego ciało wielkimi kamieniami. – Uparcie wpatrywała się w żrenice mężczyzny, cedząc już teraz każde słowo, wyraźnie artykułując wszystkie głoski. – Powolutku, cał za całem, połamano mu każdą, najdrobniejszą nawet kosteczkę. W mojej pamięci te chrupoczące kości są głośniejsze niż krzyk starca i jego błagania o



## TEMAT NUMERU - NIEWYJAŚNIONE ZAGADKI PRZESZŁOŚCI

człowieczą litość. Ale tam nie było ludzi, panie inkwizytorze, tam były same bestie, żywiące się jego bólem, strachem i agonią. Gdy tortura doszła do torsu, zamilkł. Może stracił przytomność, a może, mam nadzieję, umarł. Umazane krwią, poszarpane i wgniecione w ziemię ciało jest moim najgorszym koszmarem. – Rozpłakała się rzewnie.

- Przeżyłaś straszne rzeczy, Ann. Dobrze, że do mnie przyszedłaś – przemówił łagodnie, jak do dziecka – Dobrze, że twoje serce szuka ratunku.

- Ja nie mam serca, panie, tylko kamień ciężący w piersi.

- Byłaś wtedy młodą dziewczyną. Wierzę, że nic nie mogłaś zrobić, by zapobiec temu szaleństwu.

- Ann - uniosła głowę. W jej oczach zagościła determinacja.

- Nic nie mogłam zrobić? – wychrypiła zmęczonym od płaczu głosem – Na Boga, większość z tych ludzi zginęła przeze mnie! To była moja wina!

Inkwizytor cofnął się, marszcząc brwi i powoli przestając rozumieć wypowiedziane przez kobietę słowa.

- Powiedziałam ci, panie, że należeliśmy do zubożałych właścicieli ziemskich. Gdy okazało się, że tak łatwo jest się kogoś pozbyć poprzez oskarżenie go o czary, jak zauważyliśmy na przykładzie zeznań córki pastora, moja rodzina postanowiła wybić się na krzywdzie ludzkiej. Jakże łatwo było wybielić swoje imię rzetelnie przykła-

dając się do ścigania plugawych kreatur, oddających się diabłu w zamian za ponadczłowiecze moce! Sama na polecenie matki i ojca, a potem z własnej inicjatywy, zarzucałam różnym osobom konszachty z Lucyferem! Najczęściej tym, którzy nam szkodzili, sąsiadowali z nami, nie chcąc sprzedać ziemi za proponowaną cenę, bądź uczynili jakikolwiek inny afront! Jako dziecko uznawana byłam za prawdomówną, przecież dzieci nie kłamią a ich słowo jest czyste i wolne od fałszu! Nawet nie wiecie, jakie wrażenie na przesłuchujących robiły nasze zeznania, zwłaszcza gdy w trakcie ich trwania, widząc rzekomego winowajcę, upadałyśmy z siostrami na ziemię i wiłyśmy się w strasznych konwulsjach, krzycząc że czarownica nawet teraz rzuca uroki! – Łzy ciekły po policzkach Ann jedna za drugą, w nieustającym potoku.

Inkwizytor wstał, przemierzył komnatę długim krokiem, niosącym echo, odbitym od pustych, kamiennych ścian i zatrzymał się przy niewielkim okienku. Kobieta uporczywie wpatrywała się w jego plecy i w końcu rzekła:

- W Salem nie było żadnych czarownic, panie inkwizytorze. Za to pełno było diabłów przyobleczonych w ludzką skórę, wypełnionych po czubki uszu pychą, chciwością i zazdrością...





KAROLINA DYJA

## KLĄTWA KSIĘCIA JEREMIEGO

**P**ostać księcia Jeremiego Wiśniowieckiego zna każdy, kto chociaż pobieżnie przeczytał „Ogniem i mieczem”. Dzięki Sienkiewiczowi poznajemy go jako osobowość niemal bez skazy, utalentowanego wodza, dalekowzrocznego polityka, świecącego przykładem patriotę. Dyskusję, czy i w jakim stopniu kreacja pisarza jest świadomą idealizacją „ku pokrzepieniu serc” zostawmy znawcom literatury – w tym artykule zajmę się czymś o niebo ciekawszym. Spróbuję odpowiedzieć na pytanie: czy tajemnicza śmierć słynnego „Jaremy” to sprawa przypadku, a może... klątwy?

Książę zmarł 20 sierpnia 1651 roku w obozie wojskowym pod Pawołoczą na Ukrainie. Jego śmierć wszystkich zaszokowała – był człowiekiem młodym (miał 39 lat) i, jak na XVII wiek, cieszącym się dobrym zdrowiem. Skąd więc nagła, śmiertelna choroba?

Wzburzenie żołnierzy i obawa przed ich buntem, który mógł być brzemieniem w skutkach (podjazdy Chmielnickiego podchodziły pod polski obóz) skłoniły naczelne dowództwo do zarządzenia natychmiastowej sekcji zwłok. Jej opis przedstawia się następująco:

„Naleziono w nim niesłychanie tłustość wielką; kiszkę tak łojem oblaną jako u wieprza nie mogą być tłustsze, serce tak tłustość oblała, że szpilką nie było gdzie tknąć i płuca bardzo niszczały”.

Na tej podstawie stwierdzono, że możliwe przyczyny śmierci Jeremiego są trzy: włóknikowe zapalenie płuc, zakaźna choroba biegunkowa (książę cierpiał z powodu gorączki i właśnie biegunki) oraz zatrucie pokarmowe.

Tezę o zapaleniu płuc szybko odrzucano: książę nie miał typowych symptomów tej choroby. Współcześni patolodzy twierdzą, że wspomniane w opisie sekcji zwłok „niszczałe płuca” mogły być efektem zmian pośmiert-

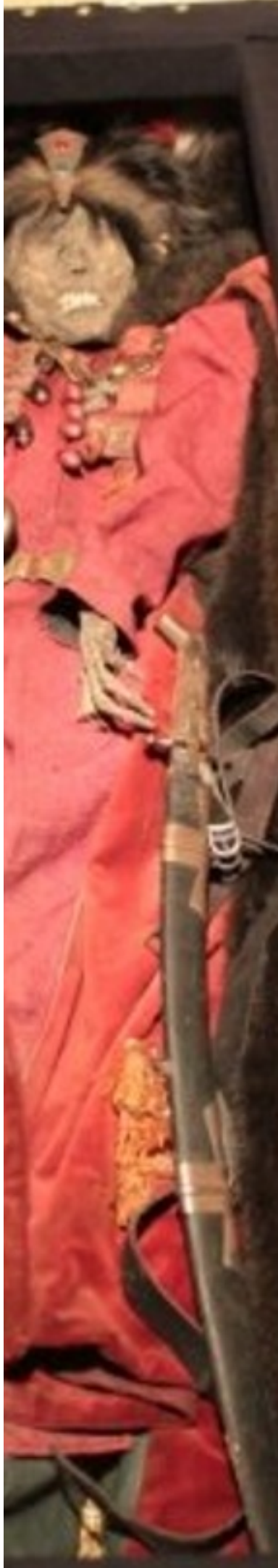
nych. Trudno jednoznacznie stwierdzić, jak było naprawdę, nie dysponujemy bowiem informacją, ile czasu upłynęło od śmierci księcia do przeprowadzenia sekcji.

Drugą możliwość – zakaźną chorobę biegunkową – naczelne dowództwo uznało za najbardziej prawdopodobną. W obozie pod Pawołoczą musiała mieć wówczas miejsce jakaś epidemia; jeden z ówczesnych kronikarzy pisał bowiem, że „rzadka to chorągiew, gdzie kilkunastu towarzystwa leżeć nie miało na swoje gorączki”. Tego typu choroby były prawdziwą plagą obozów wojskowych. Walki toczyły się w miesiącach letnich, a żywność przechowywano w stanie surowym. Na dodatek wojsko zmagало się z licznymi zastępami much, które mogły roznosić zarazki.

Ktoś zanotował, że książę „żoładek zepsował i w gorączkę wpadł”, ponieważ zjadł ogórki, które następnie popił miodem. Jeśli weźmiemy pod uwagę poziom higieny w XVII wieku, hipotezę o zatruciu pokarmowym można uznać za bardzo prawdopodobną – ogórki wymagają obmycia, a woda w czasie epidemii świetnie „transportuje” wszelkie bakterie. O „gorączkach” trapiących wówczas żołnierzy już wspominałam.

Oprócz oficjalnych tez, istniała jeszcze jedna, chętnie podchwycana przez rozżalone śmiercią wodza wojsko – a mianowicie otrucie. Według niektórych badaczy, Jeremi zdradzał typowe objawy zatrucia arsenem. Truizny w zwłokach księcia co prawda nie znaleziono, ale to nie przesądza sprawy: medycyna w wieku XVII stała jeszcze na dość niskim poziomie i wielu substancji po prostu nie potrafiono wykryć.

Kto mógł pomóc Wiśniowieckiemu rozstać się z życiem? Także tutaj



istnieje kilka hipotez. Zajmę się dwiema: według nich trucidicielami mieli być Mikołaj „Rewera” Potocki oraz Bohdan Chmielnicki. Czy mieli motyw? Oczywiście.

Hetman wielki – delikatnie mówiąc – nie przepadał za księciem Jeremim. Konflikt miał podłoże ambicjonalne (książę słynął z talentów wojskowych, był popularny wśród szlachty, Potocki przeciwnie), ale także bardziej konkretne: w czasie powstania Chmielnickiego pojawiły się projekty zniesienia dożywotności urzędu hetmańskiego. W praktyce oznaczało to odebranie buławy Potockiemu; jednym z kandydatów do zastąpienia go był właśnie Wiśniowiecki. W pewnym momencie przydzielono mu nawet funkcję swego rodzaju zastępcy hetmana. Po powrocie Potockiego z niewoli sytuacja nie uległa poprawie – bezlitośnie go lekceważono, wypominając zawstydzającą klęskę pod Korsuniem, podczas narad najczęściej przyznawano rację Jeremiemu. Stary hetman musiał więc ustępować. Czarę goryczy miało przelać polskie zwycięstwo pod Beresteczkiem. Wiśniowiecki odegrał w nim dużą rolę, tymczasem Potocki nawet nie wziął udziału w walkach (podobno zachorował). Oddano mu co prawda dowództwo pościgu za pokonanym Chmielnickim, ale... znowu o wszystkim decydował Jeremi. Tak było też podczas ostatniej narady, w której obaj wzięli udział, 13 sierpnia 1651 roku. Czy rzeczywiście „Rewera” ostatecznie puściły nerwy i zdecydował się na likwidację swojego konkurenta?

Jak już wspomniałam, hetman wielki nie był jedynym podejrzanym o chęć skrócenia życia popularnemu „Jeremiu”. Przywódca Kozaków miał inną motywację, niż błahе ambicji – w jego przypadku gra toczyła się o „być albo nie być”. Znał talenty dowódcze Wiśniowieckiego, a także jego determi-

nację; książę pragnął pacyfikacji powstania także dlatego, że dzięki temu mógłby odzyskać ogromne majątki na Zadolnieniu. Chmielnicki nie mógł czuć się pewnie, zwłaszcza po klęsce pod Beresteczkiem. Gdyby przegrał kolejne starcie tak zdecydowanie, powstanie po prostu by upadło, a na liłość „Lachów” hetman zaporoski nie miał co liczyć.

Chmielnicki miał możliwość działania – współpracował z Tatarami, biegłymi w sztuce warzenia trucizn. Jeszcze przed bitwą berestecką rozesłał też emisariuszy, którzy mieli szerzyć dywersję na tyłach armii koronnej. Któryś z nich mógł przedostać się do obozu i dosypać czegoś do posiłku lub napoju księcia. Niestety, niedostatek źródeł (nie wiemy, jak długo chorował książę, a mogłoby to być pomocne) oraz brak możliwości zbadania jego zwłok sprawiają, że chyba nigdy nie dowiemy się jak było naprawdę.

Sprawa pochówku Jeremiego Wiśniowieckiego także przedstawia się bardzo zagadkowo. Poza uroczystym pożegnaniem w obozie, pogrzeb księcia nigdy się nie odbył. Nie znamy też właściwego miejsca jego spoczynku.

W testamencie książę życzył sobie, aby pochowano go w kościele w Wiśniowcu, który zresztą sam ufundował. Z niejasnych przyczyn nie uszanowano jego woli, przewożąc ciało do Sokala. Tłumaczenie, że chciano je chronić przed profanacją ze strony Kozaków jest wyjątkowo mało przekonujące – Sokal leży tylko 80 kilometrów na zachód od Wiśniowca.

Zagadkowa peregrynacja ciała księcia zakończyła się dopiero w 1653 roku. Wówczas jego żona przewiozła je na Święty Krzyż, aby złożyć je w benedyktyńskim kościele – wciąż bez oficjalnego pogrzebu!

Można zrozumieć trudną sytuację księżnej – została bez środków do ży-



cia, z długami i jedenastoletnim synem. Szybko doczekała się jednak pomocy brata, Jana Zamoyskiego (któremu potem faktycznie prowadziła dwór, nawet po jego ślubie). Dlaczego nie poprosiła o środki na pogrzeb męża, którego zresztą bardzo kochała (kronikarz na dworze Jeremiego poświęcił wiele miejsca wyjątkowo udanemu małżeństwu księcia)? Słynącego z rozrzutności „Sobiepana” było stać na taki wydatek.

Nie wiadomo też, dlaczego sprawą godziwego pochówku ojca nigdy nie zajął się Michał Korybut Wiśniowiecki; fakt, że został w 1669 roku wybrany na króla zawdzięczał tylko jemu i swoistej legendzie, jaka ciągle żyła wśród szlachty. Fakt, kasa państwowa nigdy nie cierpiała z powodu nadmiaru pieniędzy, ale na taki wydatek monarcha również mógł sobie pozwolić – szlachta by się temu nie sprzeciwiła. Jedyny syn „Jaremy” ograniczył się do położenia w kościele na Świętym Krzyżu pamiątkowej tablicy. Do dziś znajduje się tam szklana trumna podpisana jego imieniem i nazwiskiem. Badania przeprowadzone przez Władysława Tomkiewicza pokazały jednak, że znajdują się tam z mumifikowane, nagie zwłoki mężczyzny w wieku 50 – 55 lat, który nigdy nie był sekcjonowany. Z całą pewnością nie jest to więc Jeremi.

Śledząc życiorys księcia, trudno oprzeć się wrażeniu, że ciąży nad nim jakieś fatum. Zbudował swoje małe imperium, ukochane państewko zadnieprzańskie, które bezpowrotnie utracił. Zdobył sławę zdolnego wodza, ale zawsze przyćmił go ktoś inny. Nigdy nie doczekał się docenienia zasług i objęcia funkcji hetmana. Zmarł młodo, w dziwnych okolicznościach. Nie doczekał się nawet godziwego pogrzebu, nie znamy konkretnego miejsca jego pochówku. Przypadek, a może wspomniana na początku artykułu klątwa?

Aby zbadać tę sprawę, musimy cofnąć się do początków XVII wieku. Unia brzeska (1596) spowodowała powstanie na Ukrainie dwóch religijnych, wzajemnie się zwalczających stronnictw – unitów i prawosławnych. Podział ten przebiegał nawet w obrębie rodzin.

Rodzice Jeremiego – Michał i Raina – należeli do tych, którzy pozostali przy prawosławiu. Jako głęboko wierzący, często fundowali budowę kościelne. Finansując powstanie monasteru Mharskiego, matka „Jaremy” miała umieścić w akcie fundacyjnym taką oto klątwę:

„A kto by tę fundację w przyszłości naruszać i kasować miał albo odejmować to, cośmy nadali albo na starożytną błachocestą wschodnią wiarę następował i odmieniał, tedy niech będzie nad nim klątwa i rozsądzi się ze mną przed majestatem Bożym”. Raina Wiśniowiecka zmarła w 1616 roku. Szesnaście lat później jej syn, pod wpływem wychowania u katolickich krewnych i nauki w jezuickiej szkole, dokonuje konwersji na katolicyzm. A więc „odmienił” wiarę. Nie tylko „odmienił”, ale i „następował” – zarządzając Zadnieprzem dbał wprawdzie o istniejące już cerkwie czy monastery, ale sam fundował w większości kościoły katolickie. Walczył też z prawosławnymi Kozakami, którym w czasie walk towarzyszyły setki popów (podczas bitwy pod Beresteczkiem miał zginąć gość Chmielnickiego, patriarcha jerozolimski).

Opowieść o klątwie brzmi arcyciekawie, skłania do dłuższego zatrzymania się nad Jeremim, który z pewnością był postacią nietuzinkową. Czy jednak wszelkie tragiczne zdarzenia w życiu księcia były spowodowane przez takie (przypadkowe – w końcu księżna Raina nie mogła wiedzieć, że klątwa dotknie jej syna) fatum? Każdy powinien rozpatrzyć to samodzielnie.



JAROSŁAW TUROWSKI

## ON LUBIŁ ROZPRUWAĆ

**K**to z nas nie słyszał o Kubie Rozpruwaczu? No właśnie, wszyscy go znamy. Na dzień dzisiejszy pseudonim ten jest rozpoznawalny na całym świecie. Cemu zawdzięcza tak ogromny rozgłos? Przecież po ziemi chodziły niezliczone ilości złoczyńców, więc dlaczego akurat on pozostaje ciągle sławnym, pomimo upływu lat? Spróbuję rzucić nieco światła na tą niezwykłą sprawę w poniższym artykule. Jeżeli ciekawi was: czym jest "Rozpruwaczologia", co łączy Kubę z "Alicją w Krainie Czarów", kim jest "Jolka Rozpruwaczka" oraz jakie znaczenie w całej tej historii odegrał pewien Polak albo po prostu zechcecie zagłębić się razem ze mną w złowrogie, osnute mgłą uliczki Londynu ze schyłku XIX wieku, to zapraszam was serdecznie do lektury.

Nim przejdziemy do sedna sprawy, zechcę nakreślić przed wami w kilku zdaniach obraz codzienności, która stała się tłem dla okrutnych zbrodni Kubie Rozpruwacza (ang. Jack the Ripper). Na lata 1837-1901 przypada okres panowania królowej Wiktorii. Imperium Brytyjskie było w tamtych czasach najpotężniejszym mocarstwem na świecie. Kwitła rewolucja przemysłowa, co spowodowało liczny przyływ emigrantów na wyspy. Większe miasta zaczęły przeludniać się w zaskakującym tempie, a dotyczyło to szczególnie dzielnic zamieszkałych przez biedotę. Stłoczeni i praktycznie pozbawieni możliwości zatrudnienia ludzie żyli w fatalnych warunkach. Jednym z najuboższych miejsc w Londynie było Whitechapel. Szerząca się tam przestępczość, alkoholizm i prostytutka sprawiły, że dzielnicę tą zaczęto postrzegać jako symbol upadku moralnego. To właśnie Whitechapel stało się areną zdarzeń, o których chcę wam dzisiaj co nieco opowiedzieć.

Był koniec sierpnia 1888 roku, gdy nad Londynem – oprócz tradycyjnej mgły – zawisł cień przerażenia. Wtedy to rozpoczęła się seria brutalnych morderstw, których ofiarami padały prostytutki z dzielnicy Whitechapel. Bezpośrednią przyczyną zgonu u wszystkich kobiet było głębokie podcięcie gardła. Zabójca dodatkowo okaleczał ciała każdej z nich: rozpruwał długim cięciem korpus i masakrował twarz. Niektórym z ofiar wycinał organy wewnętrzne. Najprawdopodobniej używał niezwykle ostrego noża lub skalpela. Śledczy szybko zorientowali się, że mają do czynienia z jednym i tym samym sprawcą. Zbieżności te nie uszły również opinii publicznej oraz prasie, która bardzo szybko zaskarbiła sobie temat Mordercy z Whitechapel i "rozdmuchwała go" dość mocno. Tak narodziła się legenda Kubie Rozpruwacza...

Zabójca z Whitechapel z czasem staje się najsłynniejszym mordercą obecnym w kulturze masowej. Kojarzy nam się z niewysłowioną brutalnością, zuchwałością i sprytem, lecz jego główną cechą pozostaje do dziś najważniejsze – nigdy nie udało się go schwycić ani ustalić jego tożsamości. To właśnie otaczająca Rozpruwacza aura tajemnicy sprawia, że postać ta intryguje kolejne pokolenia ludzi, bezskutecznie usiłujących odgadnąć, kim tak naprawdę był. Bo trzeba przyznać, że posiadamy na temat Kubie ledwie garstkę sprawdzonych faktów, zaś większość tego, co o nim wiemy, jest przypuszczeniami (a nawet domysłami postawionymi na przypuszczeniach!). Trudno stwierdzić, co jest tutaj prawdą, a co dziełem folkloru – fikcją wytworzoną przez ludzi. Często zdarzało się, że podczas szukania informacji do tego artykułu czułem się, jakbym przemierzał labirynt pełen niepewności i fałszy-



wych dróg.

Cieężko jednoznacznie określić, ile zbrodni było dziełem Rozpruwacza. Pod uwagę branych jest nawet jedenaście morderstw popełnionych w okolicach Whitechapel w latach 1888-1891, lecz powszechnie uznaje się, że zuchwały zabójca pozbawił życia piętkę kobiet. Określa się je górnolotnie "kanoniczną piątką Rozpruwacza", gdyż nie ma wątpliwości, że zostały zabite przez tą samą osobę. Nie jest to bynajmniej jedyna sprzeczność, jaka pojawia się podczas rozważań na temat Kuby. Dość głośno mówi się, że Rozpruwacz posiadał dużą wiedzę anatomiczną i umiejętności chirurgiczne, jednak Thomas Bond – lekarz poproszony o analizę zwłok jednej z ofiar – rzekomo twierdził, iż organy wewnętrzne zostały nieumiejętnie wycięte przez osobę, która nie miała bladego pojęcia o tym, co robi; pozbawioną jakiegokolwiek rzeźniczego doświadczenia. Współcześni badacze nie potrafią dojść do porozumienia, co było tak naprawdę motywem działań Mordercy z Whitechapel? Hiperseksualność, fanatyzm religijny, urazy psychiczne wywołane przez dominującą matkę, prawdopodobnie alkoholickę, czy jeszcze inne zwyrodnienie umysłu?

W ciągu ponad dwunastu dekad, które minęły od działalności Rozpruwacza, zdążono wysnuć około setkę hipotez, co do jego prawdziwej tożsamości. Żadna nie jest rzecz jasna potwierdzona. Badania wokół tego tematu (oparte głównie na pseudohistorii i folklorze) zdążyły rozrosnąć się tak bardzo, że stworzono dla nich specjalny termin. W 1970 roku Colin Wilson wszelkie naukowe badania poświęcone osobie i działalności Kuby Rozpruwacza nazwał "Rozpruwaczologią" (ang. Ripperology). Powstały również specjalne, anglojęzyczne czasopisma zajmujące się publikacją wyników owych badań, takie jak: "Ripperologist" czy "Ripper Notes". W taki oto sposób zbrodniarz z Whitechapel doczekał się nowej dzie-

dziny naukowej, poświęconej jego osobie.

W kim zaś upatrywali Rozpruwacza funkcjonariusze zajmujący się tą sprawą w okresie jego działalności? Głównym oponentem Kuby był Frederic Abberline – wybitny śledczy, uznawany za najśłynniejszego w owych czasach detektywa Scotland Yardu. Powszechnie ceniono go za korzystanie z różnorodnych technik i rozważanie wszelkich możliwości, bez przywiązywania się do schematycznych tez na temat mordercy. Dzisiaj w Anglii uchodzi za symbol wytrwałości i całkowitego oddania się wykonywanej pracy. Warto dodać, że zajmował się sprawą Zuchwałego Kuby już od śmierci pierwszej ofiary "kanonicznej". Głównym podejrzanym detektywa Abberline'a był Polak – Seweryn Kłosowski, fryzjer z Whitechapel. Spekulacji tych nigdy nie udowodniono. Abberline wykazał się jednak zmysłem prawdziwego tropiciela, bowiem Kłosowski rzeczywiście okazał się mordercą – truł swoje ofiary. Nie pasuje to zupełnie do profilu Kuby Rozpruwacza, znanego z chirurgiczno-rzeźniczych zamiłowań do ostrych przedmiotów. Kryminolodzy uznają tak dużą rozbieżność między sposobem działania obu zbrodniarzy za bardzo poważną przesłankę, by nie utożsamiać Kłosowskiego z Kubą. Trupicielowi zależało na dyskrecji, na dzień dzisiejszy możemy zaś przypuszczać, iż Rozpruwacz w pewnym sensie pragnął rozgłosu – stąd też określa się go czasami mianem "Zuchwałego Kuby". On po prostu lubił, gdy gazety rozpisywały się nad jego czynami, a społeczeństwo obserwowało jak gra na nosie najwybitniejszym z funkcjonariuszy Scotland Yardu...

Jedna z bardziej fantastycznych hipotez upatruje Kuby Rozpruwacza w osobie Lewisa Carolla (czyli autora "Alicji w Krainie Czarów"). Rzekomo zawarł on w swoim dziele zaszyfrowaną wiadomość, w której przyznaje się do morderstw na prostytutkach z Whi-



## TEMAT NUMERU - NIEWYJAŚNIONE ZAGADKI PRZESZŁOŚCI

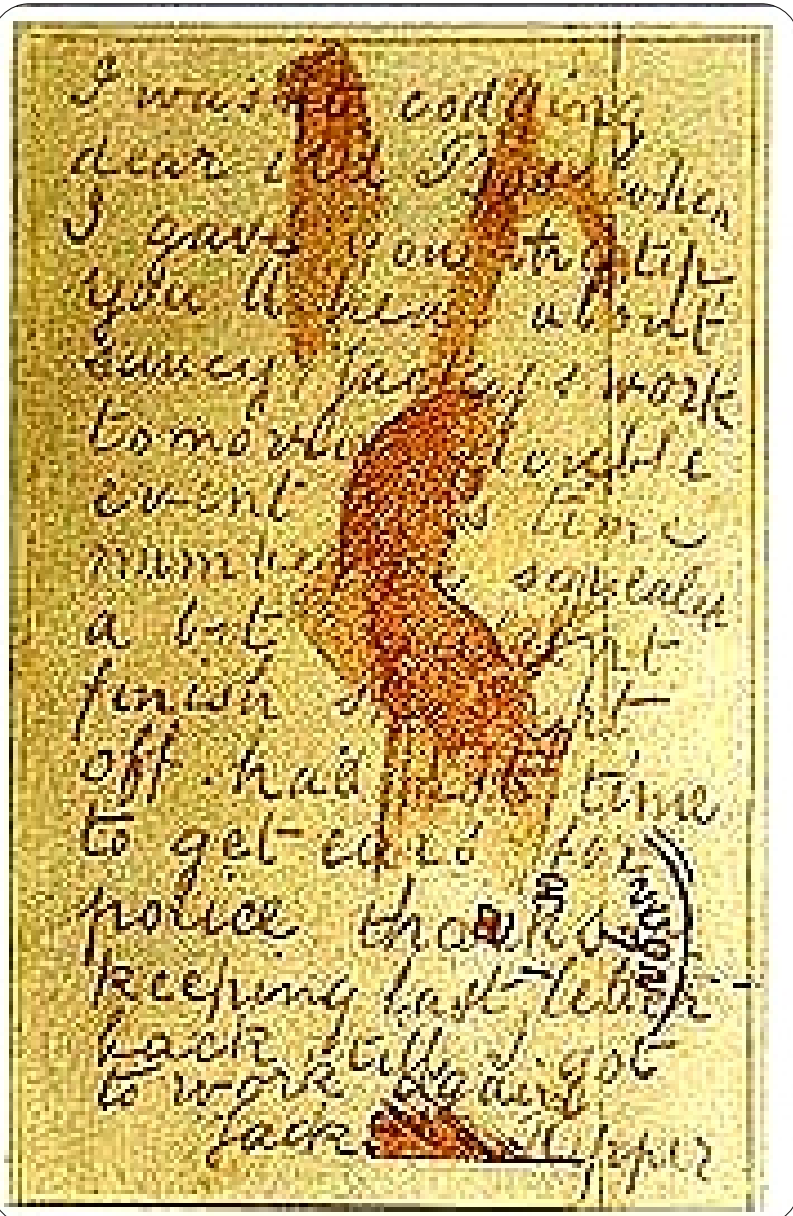
techapel. Współcześni badacze zdecydowanie odrzucają taką teorię – co więcej dodają, iż do prawie każdego dzieła literackiego dałoby się "na siłę" dorobić taki anagram, według którego autor przyznawałby się do bycia Rozpruwaczem. Nie ma innych dowodów na to, by Lewisa Carolla cokolwiek łączyło z tą sprawą. I chyba dobrze, bo co na takie sensacje powiedziałyby dzieci zaczytujące się w "Alicji w Krainie Czarów"?

Arthur Conan Doyle, znany przede wszystkim ze stworzenia legendarnej postaci Sherlocka Holmesa, również posiadał przypuszczenia, co do tożsamości Zuchwałego Kuby. Posłużył się terminem "Jill the Ripper" (w wolnym tłumaczeniu: "Jolka Rozpruwaczka"). Według znanego autora kryminałów, Kuba

Rozpruwacz miał być kobietą, a dokładniej: położną. Argumentował swoje domysły tym, że skoro mordcy nie udało się schwytać, to musiał być on kimś, kogo nie sposób połączyć ze zbrodniami. Kto obwiniałby za tak bestialskie mordy kobietę? A kogo zaskrzybiłby widok krwi na fartuchu akuszerki? Doktor Conan Doyle wysnuł więc tezę, jakoby w dzielnicy Whitechapel zabijała Jolka Rozpruwaczka – skąpana we krwi położna. Odchodziła spokojnie z miejsca zbrodni, wiedząc, że nikt nie zwróci na nią większej uwagi i nie zainteresują się nią nawet patrolujący ulice funkcjonariusze.

Trzeba przyznać, że jakkolwiek niezwykła wydaje się ta teoria, nie można oceniać jej jako zupełnie nieprawdopodobną. Dowodów potwierdzających takie dumania nie ma jednak żadnych. Conan Doyle nie pierwszy brał pod uwagę takie rozwiązanie – detektyw Abberline także zastanawiał się nad płcią Rozpruwacza, ale była to ledwie jedna z dziesiątek myśli, jakie zaprzętały jego umysł podczas śledztwa.

Teorii co do tożsamości Kuby Rozpruwacza jest multum, a ja przedstawiłem wam jedynie te, moim skromnym zdaniem, najciekawsze. Jak odnaleźć ziarno prawdy pośród tylu zupełnie różnych i ciężkich do potwierdzenia hipotez? Pewnie mógłby w tym pomóc list, który w roku 1888 został



I was a codding  
dear old Jack when  
I gave you that tip  
you heard about  
Sunday Jack's work  
tomorrow. I could  
even go to the court  
but I was a bit  
late. I didn't  
finish the night  
off. Had no time  
to get ready for  
police. Thank you  
for keeping last letter  
back. I'll get  
to work again.  
Jack the Ripper



wysłany przez Zuchwałego Kubę do George'a Luska (stał on na czele Komitetu Czujności Dzielnicy Whitechapel, utworzonego przez mieszkańców niezadowolonych z działań policji). Jak już wspominałem, Rozpruwacz lubił rozgłos – a "list z piekiel" bez wątpienia sprawił, że zrobiło się o nim jeszcze głośniejsze.

Cała zuchwałość Rozpruwacza znajduje chyba najwyraźniej swoje odbicie w finalnym: "Złap mnie, jeśli pan potrafisz, panie Lusk". Pismo niemal jednogłośnie uznawane jest za autentyczne dzieło Mordercy z Whitechapel – głównie z powodu załączonej do niego ludzkiej nerki. Nie udało się ustalić, do której z ofiar należał organ, a w późniejszych latach z policyjnych archiwów zginęła zarówno nerka jak i list (oraz wiele innych dowodów rzeczowych). Jak widzicie, treść listu obfituje w różnorakie błędy. Postawiło to przed detektywami nowe pytania. Zabójca uznawany był za człowieka sprytnego i inteligentnego, skąd więc tyle "byków"? Jest obcokrajowcem? Czy ma jakąś dysfunkcję mózgu? A może popełnił wszystkie błędy z premedytacją? Pismo "z piekiel" nie przybliżyło śledczych do rozwiązania sprawy ani o krok. Można wręcz twierdzić, że skołowało ich jeszcze bardziej, a oczywiste wyzwanie spisane w ostatnim zdaniu zapewne tylko zwiększyło poczucie frustracji tropicieli.

Współcześni badacze są zgodni co do tego, że zagadka Kuby Rozpruwacza pozostanie tajemnicą. Na nic zdają się tutaj nowoczesne metody badań DNA – minęło po prostu zbyt wiele czasu, a materiał genetyczny, który udało się zachować, jest mocno zanieczyszczony. Poddawano go wielokrotnym testom, ale nie sposób uzyskać z nich żadnego konkretnego wyniku. O Rozpruwaczu napisano do tej pory ponad sto książek, pojawia się także w licznych filmach, ilustracjach, a nawet piosenkach – i będzie pojawiał się nadal, bo skoro można mieć już niemal

stuprocentową pewność, że jego zagadka pozostanie nierozwiązaną tajemnicą, to postać ta będzie jeszcze przez lata rozpalać do czerwoności fantazje licznych autorów z całego świata.

Wizerunek Kuby w kulturze masowej zmienia się wraz z upływem lat. Rozpruwacz pozostaje symbolem nieuchwytnego złoczyńcy oraz wykorzystywania ubogich warstw społecznych, lecz bywa przedstawiany za pomocą najróżniejszych środków. Widujemy go jako typowego, angielskiego dżentelmena w czarnym kapeluszu, wielokrotnie ozdobianego elementami z horrorów, np. peleryną Draculi. Jest również często "odczłowieczany" – dość popularne są ilustracje kreujące go na zjawę lub potwora. Brytyjskie mamy posługiwały się nim jako "straszakiem na niegrzeczne dzieci". Przewija się w licznych dziełach, których nie sposób wymienić: od filmów, gdzie konfrontowany jest z Sherlockiem Holmesem, po japońskie horrory erotyczne. Fakt, iż nigdy nie odkryto jego tożsamości, pozwala twórcom na bardzo szeroką inwencję. Rozpruwacza można znaleźć również w Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud. Nie posiada on tam co prawda swojej figury, gdyż byłoby to niezgodne z zasadą nieprzedstawiania osób, których wygląd jest nieznany, ale na wystawie prezentowany jest jego cień.

W 2006 roku na łamach czasopiśma "BBC History" na podstawie ankiety wśród jego redakcji i czytelników został on wybrany na najgorszego Brytyjczyka w historii. Cokolwiek rozumieć pod przymiotnikiem "najgorszy", mówi to samo przez się o tym jak popularną postacią jest bohater tego artykułu – Morderca z Whitechapel, Kuba Rozpruwacz, znany także jako Zuchwały Kuba.





LAJ

## KSIĘŻNICZKA – ANTYBAŚŃ

**D**awno, ale to bardzo dawno temu, żył sobie liszaj. Oczywiście nie było go jakiegoś. A że każda baśń ma swoje miejsce, to i liszaj takowe posiadał. Znajdował się za siedmioma górami, trzema lasami, jedenastoma strumieniami, jednym pagórkim, trzema polami z burakiem pastewnym, jednym ugorem, stacją benzynową Shell i stodołą pana Heńka. W owym miejscu znajdowała się wieża wysoka na sto łokci i pół nadgarstka, z kamienia, granitu, bazaltu, o schodach krętych jak świderki Lubelli i korytarzu ciemnym jak murzyńska trumna o północy. A na szczycie tej wieży, tuż pod suszarnią, znajdowała się komnata ze szczerego mosiądzu. W komnacie siedziała księżniczka o ujmującym imieniu – Rozalia. Księżniczka Rozalia miała, oprócz typowo kobiecych atrybutów (nie licząc węża, który się jej posypał tuż po siedemnastych urodzinach), całkiem ładny nos. I na tym właśnie, lekko zadartym nosku, siedział liszaj.

- No żesz cholera jasna! – zmartwiła się Rozalia, patrząc całymi godzinami w zwierciadełko. Intruz na czubku nosa zdecydowanie popsuł jej humor. Zmarszczyła brwi (a właściwie brew, albowiem kilka tygodni wcześniej zgubiła pęsetę, która wypadła przez okno, w konsekwencji czego owłosienie tuż nad oczami Rozalii za bardzo zintegrowało się ze sobą, lekko szpecąc urodę, lecz za to wzbogacając mimikę) i zapytała z nieśmiertelną nadzieją w głosie:

- Lustreczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie?

- Na pewno nie ty, maszkaro – prychnęło lustro – jak na ciebie patrzę, to mam ochotę rzucić się o ścianę.

Jak łatwo się domyślić, księżniczka Rozalia była tym faktem niepokieszona. Odłożyła lustreczko na mosiężną (a jakże!) komódkę i ukryła

twarz w dłoniach.

- O, losie! O, niewdzięczny losie! Czemuż ja muszę cierpieć? Czemu mam liszaj? Czemu pęseta mi przez okno wypadła? I czemu, ach czemu jestem ruda jak połączenie marchewki, wiórki i zwoju miedzianego druta? – Szlochała.

No tak, zapomniałem dodać, że była ruda. A w tamtych stronach, w tamtych czasach rude włosy oznaczały wicherzyciela, zdrajcę i czarownicę. Liszaj na nosie tylko komplikował sprawę.

Na pewno ciekawi was, co taka księżniczka Rozalia robiła w komnacie na szczycie wieży (pod suszarnią), zupełnie sama (nie licząc liszaja) i tak daleko, za trzema uprawami buraka pastewnego (a warto wiedzieć, że w tamtych czasach burak pastewny był rzadkością do tego stopnia, że jego cena rynkowa dochodziła do trzech kwintali pszenżyta i beczki smalcu). Ciekawi was pewnie też, co się suszyło w suszarni nad komnatą...

Głównie bielizna.

Księżniczka Rozalia dochodziła do dwudziestki, a w świecie baśni to już zakrawa na staropanieństwo. Nie można jednak dziwić się takiemu stanowi rzeczy, gdyż odległość wieży od skupisk ludzkich była znaczna. Nie znaczy to jednak, że nikt nie stawał w konkurencji do Rozalii.

Co to, to nie!

Odległość, wysokość i mnogość niebezpieczeństw przyciągała co i rusz dzielnych rycerzy, którzy starali się o rękę księżniczki. Same pojawienie się pod wieżą było dane tylko połowie tych, którzy wyruszyli na wyprawę. Kolejne trzydzieści procent odpadało, gdy się okazywało, że do komnaty nie prowadzi podjazd dla niepełnosprawnych.

Metody zatem były dwie. Albo wspiąć się na wysoki mur, albo wejść



krętymi i mrocznymi schodami. Nie były to przyjazne schody. Cuchnęły stęchlizną i śmiercią, albowiem trup na nich ściełał się gęsto. Najczęściej byli to rycerze, którzy nie zdołali wejść na sam szczyt i umierali po drodze. Białe kości śmiazków lśniły w blasku pochodni kolejnych młodzieńców. Właściwie tylko jednemu udało się wejść na sam szczyt.

Zwany był Remigiuszem Dzielnym. W drodze do wieży pokonał Trzy Wiedźmy z Moczarów, następnie rozprawił się z Potworem Trzęsawisk, później stawiał czoła Obląkanemu Mnichowi z Wrzosowisk, a także rozwiązał zagadkę Czarnoksiężnika Witolda, by w następnej kolejności przepłynąć Jezioro Śmierci (i to nawet dwa razy, bo później wrócił się po konia) i przejść udanie Próbę Ognia, która zbliżyła go do wieży. Oparł się też wdziękowi Zwodniczych Nimf i dał wycisk Ogrom z Bagien. I w ten oto sposób stanął pod wysoką wieżą, na którą postanowił wejść schodami. Szedł wiele godzin, kręte schody zdawały się wic bez końca i doprowadzały do oblędu, wielokrotnie wątpił, że w ogóle mają koniec i prowadzą dokądkolwiek. Remigiusz totalnie stracił poczucie czasu i pętał, czołgał i wił się po kamiennych schodach w marazmie. Ciasne, klaustrofobiczne ściany zdawały się coraz bardziej zwęzać i zabierać powietrze Remigiuszowi Dzielnemu, ale choć miał chwile słabości i rezygnacji, to nie poddawał się, bo wiedział, że księżniczka Rozalia czeka na jego wybawienie. Gdy zostało mu już tylko kilka schodów, a on już padał z wycieńczenia, w końcu zobaczył utęskniony właz, nad którym znajdowała się komnata. Ostatkiem sił zapukał i czekał na reakcję. Kiedy otworzyła mu rozpromieniona Rozalia, Remigiusz ujrzał, że była ruda i wrócił do domu.

Po tym wydarzeniu księżniczka nie mogła dojść do siebie i zaczęła nadużywać alkoholu, a konkretnie whisky. Długie, zimowe wieczory spędzała

na gapieniu się przez okno i pociąganiu z butelki. Tęskniła za światem, martwiła się, że była ruda i wspominała Remigiusza Dzielnego, a także tych wszystkich, którzy próbowali, ale im się nie udawało.

Legenda o księżniczce Rozalii uwięzionej w wieży rozniosła się po całym królestwie Fejritejlandii, a szczególnie plotka, że była ruda jak marchewka powlekana miedzią. Od tamtej pory liczba śmiazków pragnących dostać się do jej komnaty drastycznie zmalała.

- Okrutna macoch! – Krzyczała czasem w powietrze, wspominając kobietę, która ją tu przetrzymywała.

Na pewno zachodzicie w głowę czemu Rozalia nie mogła po prostu zejść po schodach na dół i uciec. Odpowiedź jest prosta jak rzymski nochał. Otóż zła macocha powiedziała jej, że nie wolno.

- Zła macocha! – Złorzeczyła księżniczka w alkoholowym delirium. Whisky niszczyło jej cerę, mąciło wzrok, ale sprawiało, że choć na chwilę zapomniała o swym nieszczęściu. Legenda głosiła, że tylko mężny książę może ją uwolnić spod jarzma macochy, więc co i rusz nasza Rozalia wypatrywała swego wybawcy. Jednak nikt nie nadchodził. – Jakże chciałabym nie być ruda... – szlochała, opróżniając kolejną butelczynę bursztynowego napoju. – Lustreczko, powiedz przecie... K-t-tk-kto... jeżdżnajchpięęękchnielszy we wszech-hhhhhh-szfieeecie...? – wystękała, a w wydychanym powietrzu miała już co najmniej dwa promile.

- Zawsze podobała mi się Cindy Crawford – przyznało lustreczko, patrząc z niechęcią na swoją właścicielkę – Możesz mnie stłuc, bo już mi się niedobrze robi od patrzenia na ciebie, co?

- Wolałabym już umrzeć, niż jeszcze choć przez chwilę być ruda! – krzyknęła w ostatnim przeblasku trzeźwości, ignorując ewidentne złośliwości ze strony lustreczka. Gdy tylko wypowie-



## VIA APPIA POLECA - SIERPIEŃ

działa te słowa, niebo przeszył piorun, a w oknie pojawił się kruk.

- Kraaaaaa!!! – Krzyknęła Rozalia ze strachu.

- O, jaki liszaj! – przestraszył się kruk, ale po chwili się opanował – Uprzedzali, że jesteś ruda, ale to już naprawdę przegięcie.

- Kim jesteś? Czego chcesz? Skąd przychodzisz? – Piszcząca znerwicowana księżniczka.

- Z gazowni. Przyszedłem liczniki spisać – powiedział kruk, przybierając postać czarnowłosego mężczyzny w płaszczu tego samego koloru. Był bladej jak pośladki Eskimosa w marcu – Żartowałem, idiotko. Jestem Śmiercią, a zdaje się, że mnie właśnie wezwałaś...

Rozalia skuliła się w kącie, przewracając po drodze kilka pustych butelek. W Mosiężnej Komnacie zgasły wszystkie światła, a oświetlała ją jedynie trupia poświata księżycy.

- Ale... ale ja... nie miałam na myśli... to znaczy... – denerwowała się Rozalia – po prostu nie chcę być już ruda...

Pan Śmierci zaśmiał się ponuro i przeciągle, a jego zupełnie czarne oczy przeszyły Rozalię.

- Nie przyszedłem farbować włosów, tylko zbierać swoje śmiertelne żniwo – powiedział już zupełnie poważnie.

- Weź mnie – zaproponowało lustreczko – nie mogę już na nią patrzeć.

- Nie zabijaj mnie, proszę... – skamlała Rozalia, tuląc się do stóp Pana Śmierci. Objęła jego tydki oburącz i płakała, szlochała i dygotała, a jej gorzka łza upadła na stopę obleczoną na czarno gościa. W tym momencie odsunął od siebie Rozalię, a pomieszczenie rozświetlił nagły błysk. Oto w komnacie pojawiła się niska, grubiotka kobieta w okularach, na oko grubo po pięćdziesiątce. Mimo swego nikłego wzrostu twarz miała na równi z Panem Śmierci, a to dlatego, że z pleców wystawały jej cienkie, przezroczyste skrzydełka, które unosiły ją dobry metr nad ziemią.

- Wróżka Chrzestna! – ucieszyła się Rozalia – tyle lat na ciebie czekałam!

- Przybyłam na wezwanie, którym była twa gorzka łza – oznajmiła ciepłym i opiekuńczym tonem.

- Jak to? – Zdziwiła się Rozalia. – Przecież umówiliśmy się na gwizdnięcie.

- Yyy... ale...

- To ja, cholera, każdego wieczora przez sześć lat gwizdałam z tej wieży jak jakaś idiotka, gardło sobie zdarłam, dźwięki mi spuchły i bezpowrotnie utraciłam górną lewą trójkę, a ty mi tu przyłazisz po tylu latach i mówisz, że się umówiliśmy na gorzką łzę?

Zdezorientowana Wróżka Chrzestna z cichym szelestem skrzydeł osiadła na ziemi, gdzie sięgała Panu Śmierci do kolan.

- Pomyliło mi się z Kopciuszkiem – przyznała z głupią miną – Mniejsza o to. W każdym razie przybyłam. Co mnie ominęło?

Rozżalona księżniczka, gdy już doszła do siebie, opowiedziała ostatnie przeżycia swej Wróżce Chrzestnej, która słuchała z najwyższą atencją. Losy Rozalii mocno ją wzruszyły, a nawet Pan Śmierci zdawał się mieć świece w oczach. Młoda dziewczyna opowiadała o swym losie, tęsknocie i problemach z alkoholem. Gdy skończyła, Pan Śmierci po długiej chwili milczenia przemówił:

- Zaprawdę los cię ciężko doświadczył... i jeszcze ten liszaj... – westchnął ciężko, odwracając z obrzydzeniem głowę w stronę Wróżki Chrzestnej – Czy to jest zaraźliwe? – szepnął, ale kurduplasta wróżka wzruszyła tylko ramionami – W każdym razie – kontynuował już głośno – dam ci dziewczyno szansę na odmianę twego losu. Otóż istnieje zaklęcie, które sprawi, że twe włosy zyskają piękny, blond kolor, któremu nie oprze się żaden mężczyzna. Będiesz mogła wówczas żyć długo i szczęśliwie u jego boku. Prawego, bądź lewego, jeśli będzie chromy na prawą nogę.



- A jeśli nie będzie chromy? – zainteresowała się Rozalia.

- Wówczas będziesz mieć wybór – oznajmił Pan Śmierci.

- Wybór... – rozmarzyła się księżniczka, dla której to słowo było dotychczas tylko marzeniem, nie licząc dylematów czy jeść pyzy, czy pierogi z kapustą – Jakie to zaklęcie? – zapytała w końcu – czy je znasz?

- Niestety, nie znam – przyznał smutno Pan Śmierci – lecz słyszałem, że znajduje się ono w Wielkiej Bibliotece Czarów, gdzie wszystkich tajemnych ksiąg pilnuje Wielki Bibliotekarz. On ci je wskaże – zakończył pełnym napięcia głosem i nakrył się czarnym płaszczem, by rozpocząć przemianę w kruka.

- Zaczekaj! – Wróżka Chrzestna złapała go za rękaw, który zdążył się już zamienić w skrzydło – gdzie jest ta biblioteka i co ty będziesz z tego miał? – zapytała stanowczo i podejrziwie.

Po tych słowach Pan Śmierci wyprostował się i po raz kolejny przeszył zimnym wzrokiem Rozalię i Wróżkę Chrzestną. Obie wzdrygnęły się i przeszedł po nich nieprzyjemny dreszcz. Po kolejnej chwili milczenia znów zaśmiał się złowieszczo, a piorun po raz kolejny rozświetlił na ułamki sekund pomieszczenie.

- Sprytnaś, Wróżko – przyznał niechętnie – nigdy bym się tego nie spodziewał po grubaśnej karłowatej emerytce ze skrzydłami ważki. Wstęp do biblioteki mają jedynie ci, którzy zajęli co najmniej dziesiąte miejsce w konkursie Eurowizji, więc Rozalia będzie musiała wziąć w nim udział! Jeśli jej się nie powiedzie, wówczas przyjdę zabrać dziewczynę na tamten świat.

- Chyba żartujesz! – Oburzyła się Rozalia. – Przecież wszyscy wiedzą, że od ponad czterech dziesięcioleci nikomu z Fajrytejskiej nie udało się zająć miejsca w pierwszej trzydziestce! Ostatnio przegraliśmy nawet z Wyspą Gilgemiasza, na której mieszka tylko krokodyl. W dodatku całkowicie głuchy!

Jestem z góry skazana na niepowodzenie, nikczemniku.

Pan Śmierci znów się zaśmiał, zabierając z pomieszczenia całą radość i worek kartofli, który stał pod ścianą, po czym zniknął tak nagle jak się pojawił. Po chwili jednak wrócił (już bez kartofli) i z poważną miną obwieścił:

- Jako Pan Śmierci nie mieszkam pustych przebiegów, więc będę musiał zabrać do Królestwa Śmierci kogoś z was.

Cisza, która nastąpiła po jego słowach była nie do opisania. Jakakolwiek forma protestu wydawała się absolutnie bezcelowa. Wróżka Chrzestna mocno objęła Rozalię i rzekła drżącym głosem:

- Nigdy nas nie rozdzielisz! Ja i Rozalia jesteśmy dla siebie całym światem i będziemy stać za sobą murem po wsze czasy! Prawda, Rozalio?

Księżniczka wzruszyła obojętnie ramionami i poszła wstawić wodę na herbatę.

Wtedy Pan Śmierć postanowił. Wziął kamień z podłogi i stłukł nim lustreczko.

- Zrobione – powiedział i już miał odchodzić, gdy zatrzymała go Rozalia.

- A liszaj? Z taką okropnością na nosie nigdy nie uda mi się zaistnieć na konkursie Eurowizji...

- Weź prednizon. Powinien pomóc – ostatnie słowa Pana Śmierci rozplynęły się w mroku. Zamienił się w kruka i odleciał w ciemność. Wróżka i Rozalia stały jeszcze przez chwilę przy oknie i patrzyły na czarnobiałą krajobraz rozciągający się pod wieżą. Nie musiały nic mówić, ale ich głowy pełne były niepokojących myśli.

„Rozalia nie ma szans... Zginie młodo i rudo...” – trapiła się Wróżka Chrzestna.

„Nie mam szans... Zginę młodo, rudo i z liszajem” – frasowała się Rozalia.

„Może zrzucę ją ze schodów i powiem policji, że to był wypadek...” – zastanawiała się Wróżka.



„Skąd ja wezmę prednizon? Przecież tu nie ma żadnej apteki!” – martwiła się księżniczka.

„Chyba to zielone boferko mnie pogrubia” – myślała Wróżka.

„Mam nadzieję, że nie będzie tłukł tych kartofli. Wszak młodych ziemniaków się nie tłucze” – implikowała Rozalia.

Potok natrętnych myśli przerwała w końcu Wróżka Chrzestna, która klasnęła w dłonie i powiedziała:

- Rozalio, zdaje się, że nie mamy wyjścia. Zaśpiewaj coś, proszę... – po tych słowach księżniczka uśmiechnęła się delikatnie, a na jej twarzy zagościł rumieniec, który na chwilę umiejętnie zakrył liszaja. Rozalia spojrzała rozmarzonym wzrokiem w księżyc i udała na twarzy głęboką zadumę. Przymknęła swe ujmujące, zielone oczęta i rozpoczęła swą pieśń, którą więziła sercu przez wiele lat. Echo niesło głos przez góry i doliny, a w umyśle księżniczki pojawił się książę, do którego śpiewała swą miłosną piosenkę drżącym ze wzruszenia głosem. Gdy skończyła balladę, gdy echo ostatni raz rozbrzmiało, księżniczka delikatnie uniosła powieki i spojrzała w kierunku Wróżki Chrzestnej. Ta stała tyłem i majstrowała coś przy stole, wydając przy tym osobliwe i hałaśliwe dźwięki.

- Co robisz, Wróżko Chrzestna? – zapytała Rozalia, wyrwana z romantycznego uniesienia, w które wprawiła ją pieśń.

- Ostrzę miecze – odparła Wróżka, nie odwracając się.

- Ale po co? – zdziwiła się księżniczka, podchodząc do swej opiekunki bliżej. Kilka chwil później Wróżka odwróciła się, uniosła się na skrzydłach i spojrzała Rozalii głęboko w zielone, niewinne oczy.

- Nie umiesz śpiewać. Weźmiemy bibliotekę siłą.

Po tygodniu ciężkiej wyprawy, po przebyciu schodów, pokonaniu Ogrów z Bagien, przepłynięciu Jeziora Śmierci i pozytywnym przejściu Próby Ognia,

obie podróżniczki opadały już powoli z sił, a i nadzieja tliła się w nich ostatkiem. Usiadły na leśnej polanie, na którą z rzadka przenikały promienie słońca. Kres dnia zbliżał się wielkimi krokami.

- Ale nam łatwo poszło z Ogrami – zdziwiła się Rozalia – Kto by pomyślał, że jak widzą rude włosy, to uciekają w popłochu.

- Jezioro Śmierci też było dziecinną igraszką, po tym jak się rozstało po ujrzeniu twojego liszaja – przypomniała rozbawiona, ale nieludzko zmęczona Wróżka Chrzestna – Gdybyśmy tylko wiedziały, gdzie znajduje się ta biblioteka...

- Może łyka? – zaproponowała Rozalia, podtykając pod nos Wróżki butelkę whisky.

- Nie ma mowy! – odmówiła stanowczo tłusta wróżka – I tak jestem zła, że pakowałyśmy się kilkanaście godzin, a ty oprócz pary majtek zabrałaś tylko whisky.

- W sumie też nie wiem po co mi te majtki – przytaknęła Rozalia i wyrzuciła je z plecaka. – Dziewiętnaście lat nie zmieniałam, to teraz też mnie nie zbagiwią – dokończyła buntowniczym tonem, a Wróżka Chrzestna odwróciła się z najwyższym obrzydzeniem – Gorzej, że kiedy dotarliśmy do miasta, żeby zapytać o bibliotekę, to musieliśmy uciekać, bo uznali mnie za wiedźmę i chcieli mnie spalić na stosie.

- A mnie za tłustą wariatkę ze skrzydłami i próbowali mi zabrać emeryturę – Na to wspomnienie Wróżka Chrzestna oburzyła się jeszcze bardziej i wyrwała Rozalii butelkę whisky, po czym osuszyła ją do dna – Niedoczekanie!!! – wrzasnęła.

Na te słowa polanę spowiła mlecznobiała mgła, która ograniczała widoczność do tego stopnia, że ujrzenie palców własnej ręki graniczyło z cudem. Rozalia przytuliła mocno Wróżkę i obie rozglądały się w panice dookoła, szukając choć trochę przejrzystego powietrza, lecz te próby nie przyniosły



skutku. Wizja śmierci rychło zagościła w ich głowach.

- Umrzemy – szepnęła Rozalia – muszę ci coś wyznać przed śmiercią... Kilka lat temu weszłam do suszarni nad Mosiężną Komnatą i znalazłam tam tubkę butaprenu, którą się sztachnęłam. I chodziłam tam kilka tygodni, aż tubka się skończyła. Potem popadłam w depresję i przez kilka miesięcy moczyłam się w łóżko.

- Ja też ci coś muszę wyznać – skamlała Wróżka Chrzestna – Na studiach całowałam się z koleżanką i... podobalo mi się to... – nagle Wróżka przerwała, bo mgła szybko opadała i ich oczom ukazały się dębowe, solidne drzwi nad którymi widać było napis: „Wielka Biblioteka Czarów”.

- Niesamowite... – szepnęła Rozalia, patrząc urzeczona w drzwi, za którymi krył się sekret jej szczęścia. Zakłęcie, które miało dać normalność i receptę na udane życie po wsze czasy. Wizja królewskiego ślubu opanowała umysł Rozalii. Piękna biała sukna i welon, szlachetne konie, fantastyczny zamek na zboczu, przepiękny i dzielny książę, szacunek i wierność poddanych, garderoba wypełniona sukniami uszytymi przez mistrzów krawiectwa z najodleglejszych zakątków Królestwa, cotygodniowe bale na jej cześć i piękne, nieopisane, bajkowe, lśniące blond włosy...

Wróżka Chrzestna otarła ślinę ściekającą po brodzie nieprzytomnej ze szczęścia Rozalii, po czym obie podeszły do dębowych drzwi, za którymi znajdowały się wszystkie te bajkowe marzenia. Już miały wejść, już prawie dotknęły klamki, gdy niebo rozświetlił piorun i za ich plecami pojawił się Pan Śmierci.

- Odejdź! – Syknęła Wróżka Chrzestna. – Nic tu po tobie!

- Przeciwnie – uśmiechnął się przybysz z zaświatów, a jego czarne jak ziarno pieprzu pomalowane na czarno oczy zaśniły dziko. – Więc całowałaś się z dziewczyną tak?

- Spieprzaj! – Mruknęła niezadowolona Wróżka i już miała chwycić za klamkę, gdy Pan Śmierci powiedział swym chłodnym, metalicznym głosem:

- Spójrz na drzwi. Nie widzisz, co jest na nich napisane?

Rozalia i Wróżka Chrzestna podeszły bliżej i ich oczom ukazała się pozołkła od starości kartka zwisająca na solidnym, choć już nieco przyrdzewiałym gwoździu.

- „Zakaz wprowadzania zwierząt” – wyrecytowała Wróżka.

- Niżej – rzekł zniecierpliwionym głosem Pan Śmierci. Wtedy Wróżka nachyliła głowę, przeczytała kolejną linię tekstu i zmroził ją strach. Nie czekając długo, wyjęła z torby miecz i rzuciła się na Pana Śmierci z dzikim wrzaskiem. Pojedynek na miecze trwał długo. Dzikie okrzyki i chrzęst uderzanego o siebie metalu, przeplatane iskrami przykuwały uwagę księżniczki Rozalii, która niestety nie umiała czytać, więc nie potrafiła odcyfrować napisu na drzwiach. Napisu, który tak wyprowadził Wróżkę Chrzestną z równowagi.

W pewnym momencie zmęczony Pan Śmierci rzekł z gniewem:

- Dosyć tego dobrego! – Po czym odrzucił miecz, klasnął dwa razy w dłonie i Wróżka Chrzestna padła martwa pod jego stopami – Mogłem tak zrobić od razu – mruknął sam do siebie, wycierając pot z czoła. Patrzył nieprzejednany wzrokiem, jak księżniczka Rozalia rzuca się na ciało swej opiekunki, próbuje masażu serca, sztucznego oddychania i ciągnięcia za włosy w nosie, ale po chwili zrozumiała, że wszelkie próby poszły na marne. Wróżka Chrzestna była zimna jak zamrażarka w piwnicy Królowej Śniegu w styczniu.

- Dlaczego? Dla-a-cze-e-go-o? – szlochała Rozalia, wijąc się w spazmach po ziemi – Byłam z nią tak krótko, mogliśmy zostać najlepszymi przyjaciółkami... Trzymała mnie przy chrzcie, na pewno zbierała już kasę na moje wesele... Dla-a-cze-e-go-o? – pytała Pana



## VIA APPIA POLECA - SIERPIEŃ

Śmierci, który przyglądał się temu ob-  
razkowi z niewzruszoną miną. Był  
świadkiem takich zachowań nie raz,  
nie dwa.

- Prawdę mówiąc, przyszedłem po  
ciebie, ale ona mi wystarczy – powie-  
dział, po czym zamienił się w kruka.

- To teraz zabij mnie!!! – Krzyknęła za  
odlatującym ptakiem Rozalia, zrywając  
się na nogi i złorzecząc.

- Hej, tutaj jestem, idiotko – powiedział  
Pan Śmierć w formie kruka stojący da-  
lej na polanie – to była jakaś przypad-  
kowa wrona. Zresztą nie błagaj mnie o  
śmierć, bo nie umrzesz. A największą  
satysfakcją dla mnie będzie to, że po-  
zwolę ci żyć w tym stanie – rzekł i od-  
leciał w przestworza.

- A... ale jak to? – spytała zdezorien-  
towana księżniczka Rozalia – nie rozu-  
miem...

Podeszła do drzwi i przyjrzała  
się pożółkłej kartce, z zapisanym na  
niej tajemniczym zdaniem, które osta-  
tecznie przyczyniło się do śmierci  
Wróżki Chrzestnej. Im dłużej mu się  
przyglądała, tym mniej widziała sensu  
w tańczących jej przed oczami literach,  
których nie potrafiła przeczytać. Wtedy  
drzwi się uchyliły i wyszedł przez nie  
stary, siwy mędrzec, zgarbiony i opie-  
rający się o lasce.

- Kim pan jest? – spytała Rozalia, ale  
czuła, że zna odpowiedź.

- Jestem Wielkim Bibliotekarzem – po-  
wiedział zgodnie z przypuszczeniami  
starzec. Gdzieś w głębi serca księż-  
niczki znów zatliła się nadzieja, która  
przypomniła przyświecający jej cel:  
odnaleźć zaklęcie. Wiedziała, że nie  
będzie mogła uczynić tego z martwą  
Wróżką Chrzestną, ale zrozumiała, że  
nie może się poddać. W końcu jest  
księżniczką! Przeszła tyle przeciwności  
losu, zwalczała niemożliwe do zwal-  
czenia, pokonała niemożliwe do poko-  
nania i oto znalazła się przed  
biblioteką, by nadać blask swemu ży-  
ciu. Spojrzała na Wielkiego Biblioteka-  
rza, który miał odczytać magiczne  
zaklęcie i sprawić, że wszystko się od-  
mieni. Chciała jeszcze tylko zaspokoić  
swoją ciekawość.

- A co tu jest napisane? – spytała  
ostrożnie Rozalia, pokazując na nie-  
czytelną dla niej linijkę tekstu.

Starzec podszedł do drzwi, nałożył  
monokl i przeczytał:

- „Rudym wstęp wzbroniony” – po-  
czym zamknął drzwi, zostawiając  
księżniczkę samą na polanie z plec-  
kiem pełnym whisky.

### *Megan Whalen Turner* **Królowa Attolii**

Gdy Eugenides, Złodziej Eddis, wykradł  
Dar Hamiatesa, królowa Attolii straciła  
coś więcej niż tylko mityczny artefakt.  
Straciła twarz w oczach swoich  
poddanych. Wszyscy wiedzą, że młody  
złodziej przechytrył ją, wymykając się  
pościgowi. Chcąc odzyskać utraconą reputację i  
pozycję, królowa Attolii nie cofnie się przed niczym i  
przyjmie każdą oferowaną jej pomoc...  
By dokonać zemsty, gotowa jest poświęcić nawet swój  
własny kraj.





## WSPOMNIENIE Z DZIECIŃSTWA

O d Dziadka - dla Dziadka. Wspomnienia ujęte w moje słowa.

- Powiedz mi, dziadziu, jak to jest, że jedni ludzie rodzą się bogaci, a drudzy od samego początku są biedni? - spytał dwunastoletni Piotruś, siedząc naprzeciwko starszego mężczyzny i wpatrując się prosto w jego mądre oczy osadzone głęboko w oczodołach, wokół których rozchodziła się sieć bruzd i zmarszczek. - Dlaczego Pan Bóg na to pozwala? To nie jest tak, że On kocha wszystkich ludzi i powinien pozwolić im żyć tak samo?

- Widzisz, mój drogi... Bóg dla każdego człowieka przygotowuje próbę. Próbę życia. Oj, tak. Każdy z nas przechodzi coś takiego. Każdy z nas musi udowodnić Bogu, że jest godny tego, co dostał. Godny życia - oznajmił Dziadek; Piotruś słuchał go jak urzeczony, nawet przy tym nie mrugając. - Wszystko zależy od uczynków. To jest właśnie ta próba.

- Wiem, że przez dobre uczynki człowiek może pójść do nieba. Ale żeby coś udowodniać...

- Właśnie poprzez takie udowadnianie pokazujemy, że jesteśmy gotowi, aby pójść tam - staruszek wskazał palcem ku górze - a nie do piekła.

- A co, jak nie będzie nam się udawać?

- Wówczas możemy być pewni, że gdzieś popełniliśmy błąd. Wcześniej, kiedyś. Widzisz, Piotruniu, wszystko to, co przeżyłem od swoich narodzin ukształtowało mnie takim, jakim jestem dzisiaj. Wszystko, co widziałem, pozwoliło mi patrzeć na dzisiejszy świat z pewnej perspektywy.

- Czyli jak?

- Jakby ci to wyjaśnić... Chodzi o to, że jednym okiem widzę przeszłość, drugim to, co jest dzisiaj. Potem to porównuję. Dzięki temu potrafię mieć swoje

zdanie, co, tak myślę, robi ze mnie ogromnego szczęściarza.

Każde słowo, które Piotruś usłyszał podczas tamtej rozmowy, wbiło się w jego pamięć na tyle mocno, aby stać się dla chłopca (a potem dorosłego mężczyzny) swojego rodzaju „ostatnią deską ratunku”; za każdym razem, gdy chłopak nie wiedział co robić, słowa Dziadka pomagały mu ujrzeć światło w tunelu.

Można odnieść wrażenie, że Dziadek rozmawiał z Piotrusiem tak, jakby nie pamiętał o jego wieku; nie zwracał uwagi na to, że chłopiec mógł nie zrozumieć niektórych używanych przez niego słów. Szczerze mówiąc, nie musiał się tym martwić, bo wiedział, że nawet gdyby zaczął mówić w innym języku, to wnuczek i tak by go zrozumiał. Dlaczego? Cóż... Tutaj chyba wystarczą dwa słowa: silna więź.

W ciągu całego swojego życia Dziadek opowiedział Piotrusiowi niezliczoną ilość historii, a większość z nich była oparta na faktach. Jedne były radosne, inne mniej; chłopiec pamiętał każdą, ale tylko jedną był w stanie niemalże wyrecytować, używając dokładnie tych samych słów, jakich używał staruszek. Może dlatego, że Dziadzio, gdy zaczynał opowiadać ową historię, dodał na początku jedno dość znaczące zdanie...?

Gdyby nie to wydarzenie, prawdopodobnie dziś nie byłbyś moim wnukiem, a moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej... Ale, jak widać, to właśnie było nam Wszystkim potrzebne.

Szesnasty lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku zapowiadał się wyjątkowo upalnie. Już od samego rana gorące promienie słońca wdierały się do sypialni trojga braci, przyjemnie muskając ich policzki.

- Jasiek, otwórz okno... - nie otwierając

oczu, z rozmarzoną miną bąknął Staszek, pryszczaty nastolatek z kasztanową grzywką i zadartym nosem.

W łóżku obok leżał niemalże identyczny chłopak, różnił się od bliźniaka jedynie podłużną blizną na skroni; pamiątka po tacie, jak zwykła mawiać babka dzieciaków.

Jasiek, niski piętnastolatek o przystojnej twarzy, która poznaczona już była pierwszym zarostem, zrzucił z siebie koc i z miną straceńca wstał z łóżka i zbliżył się do okna, otwierając je.

- Czemu zawsze robię to, co chcecie?  
- wycodził prawie że szeptem Janek.

- Najmłodszy jesteś, masz pecha - parsknął śmiechem Józek, drugi z bliźniąt.

- Poza tym napierdziałeś strasznie, to teraz musisz otworzyć okno. Tak to już jest. - Chłopak odwrócił się w stronę brata i zauważywszy, że ten się w niego wpatruje, puścił do niego oko.

- Jasne... Napierdziałem. Bo za was to krasnoludki wynoszą...

- Chłopcy, chodźcie, mleko na stole! - Do uszu chłopców dobiegł ciepły, matczyzny głos.

Jasiek spojrzał na braci i nieco się skrzywiwszy, zapytał:

- A co, jak dzisiaj po nas przyjdą?

- Nie tchórz! - rzucił Staszek, wstając z łóżka i nieśpiesznie się ubierając. - Nikt nie przyjdzie. A nawet gdyby, to mama nie da nas zabrać - dodał pełnym pewnością siebie głosem.

- Właśnie - wtrącił się Józek. - Nie da...

- Idziecie?! - ponownie rozległ się głos matki.

- Tak, tak. Już idziemy! - odparli bliźniacy w tym samym momencie; Janek nigdy nie mógł się nadziwić idealnemu zgraniu rodzeństwa. Byli jak papużki-nierozłączki.

Jedna z tajemnic świata, która nigdy nie zostanie wyjaśniona.

Niecały kwadrans później cała trójka siedziała już przy drewnianym stole, popijając z glinianych kubków ciepłe mleko i zagryzając sucharami. Rarytas.

Chłopcy wraz z matką mieszkali w starej lubelskiej kamieniczce. Jako że zajmowali mieszkanie na parterze, z kuchennego okna można było bez problemu wyskoczyć na brukowany rynek, zaś aby znaleźć się w niewielkim ogródku na tyłach, zamiast iść naokoło, wystarczyło przedostać się przez okienko w pokoju braci; matka nigdy nie pochwałała takiego sposobu wychodzenia, ale pogodziła się już z tym, że chłopcom zawsze było gdzieś śpieszno, toteż zazwyczaj kończyło się jedynie na żartobliwej reprimendzie.

- Jasiek, pójdziesz ze mną w południe do handlarki? - spytała kobieta, podgrzewając na piecyku kolejną porcję mleka; leżący na podłodze kot, czując zapach napoju, kilkakrotnie się oblizał, mrużąc przy tym przeciągle.

- Ma się rozumieć - ochoczo zgodził się chłopak.

- A my? - odezwał się Józek, wskazując na brata.

- A wy zostaniecie w domu i wysprzątajcie piwnicę.

- Piwnicę? - Staszek spojrzał na matkę błagalnym wzrokiem. - Teraz kolej Jaśka.

- Jasiek idzie ze mną, bez gadania. Brat ci pomoże.

Bliźniak więcej się już nie odezwał. Zamiast tego burczał pod nosem, co przy popijaniu mleka dawało nieco śmieszny efekt.

Nie minęło wiele czasu, gdy chłopcy skończyli śniadanie i sprząтали puste naczynia ze stołu. Matka krzątała się po kuchni, raz po raz ścierając z piecyka jakąś drobną plamkę; wyglądała na zupełnie spokojną, jednak w głębi serca czuła, że nadchodzi coś, czego nikt by nie chciał. Nie potrafiła tego wyjaśnić, toteż postanowiła nie zawracać sobie tym głowy. Pamiętała słowa swojego ojca, który zwykł mawiać, że nie warto przejmować się jakimikolwiek przeczuciami. Bo i po co?

Idąc śladem ojczulka, zignorowała niepokój. I z biegiem czasu pewnie w ogóle by o nim zapomniała, gdyby nie



wydarzenia, które rozegrały się w ciągu następnych dwóch minut.

Z zewnątrz całą czwórkę dobiegł hałas wystrzałów. Kilkusekundowy odstęp między każdym kolejnym dawał do zrozumienia, że gdzieś na rynku znowu rozpoczęła się „ostrzegawcza bójka” (nic groźnego - mówiła babka Jaśka, Staszka i Józka - ale nie warto wchodzić kulom w drogę. Przeczekać).

- Zamknij okno, Jasiu - kobieta zwróciła się do najmłodszego z synów. - Handlarka chyba jednak chwilę na nas zaczeka.

Jasiek bez słowa sprzeciwu podbiegł do okna i chwycił za oszklone skrzydła; nie wiedzieć czemu, jego dłonie drżały jak nigdy wcześniej.

Mogłoby się wydawać, że to, co stało się później, trwało kilka godzin. Naprawdę długich godzin. W rzeczywistości jednak wszystko zaczęło się i zakończyło jeszcze w tej samej minucie.

Moment po tym, jak Jasiek chwycił okienne skrzydła, do lewego ucha chłopca wdarł się niewyobrażalny świst, który wwiercając się w czaszkę, sprawił ogromny ból. Jakby coś rozsadzało głowę nastolatka od środka.

Pocisk. Pocisk, który minął głowę chłopaka zaledwie o milimetr, może dwa.

Kilka sekund minęło, zanim Janek nieco się otrząsnął. Spojrzał za siebie i w tym momencie na całym jego ciele wykwitła gęsia skórka. Dłonie zaczęły mu drżeć jeszcze bardziej, wargi zacisnęły się niczym szczęki imadła, a gardło wyszło na wiór.

- Jasiek, szybko! - wołał Staszek, dławiąc się łzami. - Jasi...

Ale chłopak już go nie słyszał. Świat wokół niego zaczął się rozmywać. Wszystkie kolory zlały się w jedną, szarą barwę, zaś dźwięki zamieniły się w niezrozumiałą jazgot.

Pozostał tylko Jasiek i jego matka. Matka leżąca na podłodze, z rozrzuconymi rękami i nogami. Matka, której czaszka została rozłupana; szkarłat broczący z ust kobiety powoli spływał

w stronę jej piersi, zaś resztki mózgu, które gęstym strumieniem wylewały się z głowy (makabryczny widok, który Janek starał się wyrzucić z pamięci), niknęły pod jej ramionami.

Pełna pustka w głowie chłopca co chwilę zamieniała się w gonitwę myśli. Łzy cisnęły się pod powieki Jasia, jednak ten czuł, że jego oczy nie są w stanie wydusić z siebie ani kropelki.

Pustka.

Co się stało? O Boże... Jak to. Przecież. To. Sen. Ona. To. Sen. Przecież...

Pustka.

Mamo! Mamusiu! Nie żartuj sobie! Mamusiu proszę... Nie. Żartuj.

Pustka.

- ...stąd! - do uszu Jaśka znowu dotarł głos brata. - Idź stąd i zabierz Józka!

Ale nastolatek nie mógł się ruszyć. Wpatrując się w ciało matki, bezwładnie opadł na podłogę.

Dopiero kiedy zemdlął, w kącikach jego oczu pojawiły się łzy.

Nigdy nie dowiedziałem się, kto tak naprawdę zabił mamę. Wiem, że to był wypadek. Chociaż nie do końca. To stało się tak szybko. Ale... To mogło się zdarzyć wszędzie. Kula mogła wpaść do okna kogokolwiek. A wpadła akurat do naszego. Nie uważasz, że tak się po prostu musiało stać?

02.08.2009

Tamtego dnia spotkałem się z Dziadkiem po raz ostatni. Chociaż... czasem tak sobie myślę, czy to nie było jedynie ostatnie spotkanie Ciał. Bo duchowo widzimy się i rozmawiamy do dziś.

Gdy wtedy usiadłem na rogu jego łóżka i spojrzałem na tę wyniszczoną, ale i zmęczoną rakiem twarz, uzmysłowiłem sobie, jakim przykładem był zawsze dla mnie Jan G. Jaki szacunek zawsze mu się należał, a na którego brak zbyt często cierpiał... choć nigdy się nie skarżył.

Właśnie wtedy, podczas naszej ostatniej rozmowy, doszedłem do wniosku,

## VIA APPIA POLECA - WRZESIEŃ

że nic nie dzieje się bez przyczyny. Że każda, nawet najdrobniejsza rzecz, ma w życiu człowieka ogromne znaczenie.

- Wnusu - powiedział dziadek, starając się uśmiechnąć. - Chciałbym się z tobą pożegnać.

- Dziadku, prze... - wyszeptałem, starając się powstrzymać łzy.

- Obaj dobrze wiemy, że niewiele mi zostało czasu - wszedł mi w zdanie Dziadzio.

- Nie boisz się? - Za to pytanie karałem

się w myślach jeszcze przez długi czas. Do momentu, w którym zrozumiałem, że Dziadek chciał, abym je za-  
dał.

- Nie. Ani trochę - odparł. - Wiesz... Wreszcie zobaczę się ze swoją mamusią.

Dwa dni później rzeczywiście się z nią zobaczył.

### Maureen Jennings **Biedny Tom już wystygł**

Listopadowe śledztwo detektywa Murdocha

William Murdoch dowiaduje się, że podczas nocnego obchodu zaginął konstabl Wicken, młody mężczyzna, którego cenił i lubił. Natychmiast wyrusza na jego poszukiwanie. Podąża rutynową drogą konstabla patrolującego swój rewir, sprawdza zakamarki, szuka

śladów, zagląda do opuszczonych domów. W jednym z nich znajduje martwego Wickena z raną postrzałową głowy. Obok niego zaś leży karteczka z napisem: „Życie bez twojej miłości jest nie do zniesienia. Wybacz mi”. Tak zaczyna się historia zawiłego dochodzenia.

Biedny Tom już wystygł to trzecia z serii siedmiu książek o kanadyjskim detektywie, ukazujących wiernie realia Toronto z końca XIX wieku. Obdarzony dużą wiedzą i intuicją detektyw Murdoch jest niezwykle oddany swej pracy i wykorzystuje w niej najnowsze zdobycze kryminalistyki. Ten nieśmiały, samotny i doświadczony przez los miłośnik jazdy na rowerze musi się wykazywać stanowczością i odwagą, kiedy śledztwa prowadzą go w najmroczniejsze zakamarki ludzkich dusz, skrytych pod pozorem konwenansów.





## SHINOBI DETEKTYWI

**J**ak szmata! – Cios był szybki i celny, a z nosa, w którym coś pękło, obfitym strumieniem trysnęła krew, zalewając usta, kształtne zęby, ale i białą bluzeczkę, którą kupiła ostatniej środy w lumpeksie, żeby nieco i tanio rozświecić szarość takich samych dni. Pięć złotych za kilogram, w promocji. Kiedyś mu ufała.

- Kiedyś ci ufałam...

- ...jak kurwa! – Drugie uderzenie, tym razem w splot słoneczny, pozbawiło ją tchu.

Na podłogę spadło kilka zębów, chyba trzy.

- ...jak matka! – Po trzecim, omdlewając zdążyła sięgnąć po pilnik do paznokci. I wtedy coś pękło w jej głowie.

\*\*\*

- Jezu, ale pojebana historia!

- Niestety.

- Panowie, panowie... – głowa kapitana mignęła w drzwiach łazienki – nie obijać mi tu gruch o kolana, do roboty! – a potem szybko zniknęła.

- Czyli...?

- Tak.

- I wtedy...

- Oczywiście.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem, może po prostu kazała mu wnikać do łazienki przez osmozę. Założmy, że było tak: po powrocie z pubu bez przekonania wydusił kilka wągrów, umarły na lustrze. Ona siedziała w wannie. Ona, pianka i świece. W ustach peł, nosem puszczała kółeczka, które układały się we wzory przedziwne, niby koszmarne, prawie plamy Rorschacha. Czytała z nich siebie. I kaczką, bo w kąpielni zawsze jest kaczką. Żółta żółcią najgłębszą, a dzióbek pomarańczowy, dojrzały doj-

rzałością cytrusa, z ekologicznej plantacji w Panamie, zerwanego zmacerowanymi dłońmi tubylców, dla których słowo „Tetragrammaton” jest tabu, a serca mrozi im trwoga. Zabawka do trzymania jej towarzystwa, spokojnie dryfując na falach głaskających łaskawie uda, które kiedyś tak kochał, ale już nie pamiętał ich potrzeb. Może jedynie mimowolne erupcje podwodnych wulkanów znosiły stworzonko ze stabilnego kursu. Prawdopodobnie chciał jej coś powiedzieć, coś miłego nawet, ale nie zdążył, bo... „Zamknij drzwi, ej..!”, wpadała w histerię na sam jego widok, „No zamknij!”; Pomyślał, że zrobi jej na złość, że ostentacyjnie się wysra, ale powiedział tylko: „A co, mam tu wnikać przez osmozę?”, i trzasnęła...

- Drzwiami?

- Nie, ją, w mordę. Coś tam między nimi nie grało chyba od dłuższego czasu. To nawet nie musiał być żaden żul, to mógł być człowiek z tak zwaną aspiracją do klasy średniej. Dyplom renomowanej uczelni, kasy akurat tyle, by nie martwić się czy zwiążą koniec z końcem do pierwszego, a w głowie szambo. Szczur XXI wieku.

- Ciekawe gdzie się poznali?

- Gdzie bądź, to nieistotne. W kinie, knajpie, na studiach, wpadli na siebie na ulicy. Wszędzie, to everymani. Ważniejszy jest chyba kontekst. Może jego ojciec, nie, nie ojciec, dziad złomiarz umiera absurdalną śmiercią, pewnie przy wózku z kradzionymi kaloryferami, albo z flaszką w łapie, na pewno ze szczochem w gaciach, lecz w międzyczasie, przy okazji jakby, chyba niechcący płodzi ojca tego tu oto syna, który być może nauczył się czytać, może też jakoś niechcący; a już świadomie przez życie całe smarował chleb świńskim łojem, żeby dziecku, kupić M2 na jakimś zapiędziowie w mrówkowcu, a dziecko, syn

ten tu oto ojca, wnuk dziadka, gdy już zamieszkał w wymarzonym M2 przetrzucił się na margarynę i dalej smarował w nadziei, że kolejne pokolenie zamieszka w M3, może nawet trochę bliżej centrum, margarynę zamieni na masło, na którym, kto wie, może od czasu do czasu z cichym plaśnięciem wylądować cienki plaster mortadeli.

- Myślisz?

- Myślę, że prawdopodobnie od lat był zdenerwowany codziennym wstawaniem o brzasku i korkami, w których tkwił jadąc tramwajem do pracy. Ledwo taki otworzy oczy, a już wie, że czeka go ciężki dzień, zaś jego aktówka marki "Samsonite", podarunek od wuja z Ameryki z okazji trzydziestki, nawet leżąc w kącie koło biurka pewnie skrzypi od nadmiaru spraw ważnych. Wisienką na torcie jest nawalająca od ponad pół roku hydraulika, a rozpaczliwe próby maskowania przed żoną kłopotów ze wzwodem są wręcz komiczne. Nienawidzi jej.

- A ona?

- To postać tragiczna. Poświęciła karierę dobrze zapowiadającej się prawniczki. Dla niego, bo tak go kochała. Dla dzieci, bo tak ich pragnęli. Stłamszona przez rzeczywistość, odepchnięta przez męża, zaczyna korzystać z pomocy psychoterapeuty. Bo czuje się źle, bo akcydentalne zbliżenie sprawiają jej ból. Nienawidzi go.

- No i?

- Przed wyjściem do pubu, ale już po obiedzie, przysiadł na momencik w swej jaskini, założył, że jest nią fotel. Odpoczywa i medytuje, trawi bóle, a tam na zewnątrz, przy włączu do niej, do tej groty, stoi baba i krzyczy "Nie mam się w co ubrać...!", i może to, że krzyczy nie jest nawet najgorsze, może najgorsze jest to, że on, choć jeszcze usadowiony tyłem, już sobie wyobraża wyraz jej twarzy, na którym igrają przeróżne grymasy, nawet nie tyle igrają, co rozłazą się po niej zupełnie swobodnie, bez koordynacji jakby, bez planu, czy jakiegokolwiek logiki. I co on,

poczciwina życiem umęczony, może, powinien, czy raczej musi zrobić, pytam?

- Walnąć ją w głowę?

- Jesteś idiotą, to pewne. Wyobraź sobie wcześniej ją, kobietę opuszczoną, piękną niby boska Diana gdzieś w Luwrze, zastygłą w czasie na wieki. Pomyśl o innej sytuacji. Ona i on siedzą przy stole.

- No i?

- Ona kroi cebulę. Grube plastry miękko opadają na pajdę. Płacze, łyżę drażną obfitą warstwę podkładu Max Factor. Dusza w niej łka, łka szalenie i może ten płacz to już nie jest wyraz dezaprobaty dla jego zuchwałych alkoholowych ekscesów, do których zdążyła się przyzwyczaić. To już może równie zuchwałe, ale tym razem pragnienie, by choć raz stojąc przed nim jak Ewa, on choć raz okazał się zarówno owym szalejącym w amoku rządu, rozpustnym Adamem tuż po zjedzeniu jabłka, jak i ślepcem błądzącym po omacku nawet nie w poszukiwaniu tej rozpalonej miłością piersi, na którą nieustannie kiedyś tak celnie natrafiał, i może nawet nie tego kwiatka we włosach, tego jedyne ubrania, które okrywało jej wstyd, ale jądra kobiecości odartego z prawie wszystkich już złudzeń prócz ostatniej nadziei, że ona i on, nie ciała nawet, lecz dusze wyłuskane z dwu pofałdowanych ziaren skrytych w skorpocie doczesnego trwania spoczną kiedyś w życiodajnej ambrozji na wieki wieków, amen. Zaś...

- ...on ma parcha.

- Co?

- Patrzą na jego krocze, ale ma parcha. Może robił boki?

- Nie sądzę. Raczej nie chodzi o uwodzenie, sama idea uwodzenia takim nerwusom, co ślinę przełykają często i świadomie, nie do końca odpowiada, gdyż sami uparcie wierzą w niewinność sumienia, niekalanego nawet drobnym kuknięciem na ponętą pierś, a nawet dwie piersi ze szcze-



linką, w którą ładnie wnika srebrny łańcuszek, z krzyżykiem lub bez. Może nawet chadzał na pikiety, gdzie krzyczał: „Kobieta to nie wagina, zboczeńcy!”. Cholerny, kostropaty Hiob z grzybem, co pewnie najpierw wywalił pomiędzy paluchem, a palcem sąsiadującym prawej stopy przynależnej do umęczonego ciała człeka niezdolnego już, bo trwającego w fazie sukcesywnie postępującej atrofii uczuć i woli trwania, też działania, by po robocie zzuć ze spoconej nogi skarpetę. Potem mu się to rozeszło, bo Pollena Starachowice przestała robić miętowe mydło, którym za każdym razem szorował stopy, nawet gdy zamierzał ledwie musnąć policzek ukochanej pocałunkiem.

- Co to ma do rzeczy?

- Może nic. Zatem ona kroi cebulę, on czyta gazetę, „Przegląd Sportowy” niechybnie. Czyta i knuje, oczka świńskie, a lubieżne i chytre, przebiegają linijki wyników sportowych. Skoro świt pójdzie, obstawi i wygra, w końcu musi wygrać, i wtedy powie, powie jej „Bierz połowę i spierdalaj, ty suko!”.

- Jezu, ale pojebana historia. O co tu chodzi?

- I jak? Jakieś wnioski? – głowa kapitana mignęła w drzwiach łazienki po raz drugi.

- To niechący szefie. Prościej łać w

gębę niż zrozumieć.

- Co?

- To z miłości.

- Co?

- Z miłości, która wygasła.

\*\*\*

O takich dniach pamiętają nawet stare kalendarze. Wracali na posterunek.

- Co za dzień. Dwa trupy, a dopiero ósma rano.

- Szaleństwo.

Dobył z torby kanapkę z masłem, szynką i serem. Śniadanie pachniało łąką przyprószoną rosą, skapaną promieniami słońca, łąką na której roześmiani rubasznie pasterze, żując żdźbła, pokazują sobie palcami bycze jądra. Pachniało czymś jeszcze, bo zapach miał brzmienie bogatej w niuanse nostalgii za dniem już minionym, kiedy to pacholęta tulą się do maminego cyca, a w lepkich od młodzieńczych polucji bądź upławów, nocnych marach snują plany małżeńskiego pożycia ze swą potencjalną małżonką - kobietą czułą, cnotliwą, o piersi pięknej, a wargach układających się w uśmiech lekki i przyjemny; lub małżonkiem – prawdziwym Herkulesem, chłopem na schwał, co w głowie ma same ideały.



KAROLINA DYJA

MUZYKA PLUS LITERATURA  
RÓWNA SIĘ...

**T**rochę z chęcią zapoznania się z literaturą ukraińską, trochę zaciekawiona okładką, kupiłam „Dziką energię” Mariny i Siergieja Diaczenków. Moje doświadczenia z fantastyką kazały trzymać się od niej z daleka, lecz nowe doświadczenia zawsze poszerzają nasze horyzonty – w końcu to, że nie padłam na kolana po przeczytaniu „Hobbita” czy „Władcy pierścieni”, nie powinno mnie zniechęcać do całego gatunku.

„Ta powieść z gatunku fantastyki socjologicznej jest nietypowa w dorobku Diaczenków. Pełna szybkiej akcji, z dynamiczną narracją i przebijającą z kart powieści muzyką (...)”

„Zaraz, znam to”, pomyślałam, czytając opis z tyłu książki. Od razu przypomniła mi się Eurowizja 2004, zachwyt świetnym występem Rusłany Łyżyczko i poszukiwania w Internecie jej twórczości – poza przedstawioną na Festiwalu piosenką „Wild Dances” nie miałam pojęcia o dorobku artystki.

Przeglądając klipy na Youtube, natknęłam się na „Dziką energię”. Z piosenki zrozumiałam niewiele – wtedy jeszcze nie znałam ani jednego słowa po ukraińsku, mogłam wyłapywać tylko drobnostki, wynikające z podobieństwa tego języka do polskiego. Z pomocą przyszedł mi użytkownik, który przetłumaczył tekst na angielski. Mimo tego, słowa pozostawały dla mnie lekko niezrozumiałe, chociaż bez wątplenia oryginalne. Skąd pomysł na piosenkę o poszukiwaniu energii (z trochę enigmatycznym intro, mówiącym o „kryzysie energetycznym w Mieście”)?

Przede wszystkim, przyjrzałam się jednak teledyskowi. Zrealizowany bardzo starannie, wręcz z pewnym

rozmachem, naprawdę mógł się podobać. Wydawało się, że na jego użytek stworzono odrębny świat. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jest on w pewien sposób literacki.

Ciekawiło mnie, czy artystka sama wpadła na tak ciekawy pomysł.

„Powieść (...) jest częścią większego projektu – do libretta Diaczenków laureatka Eurowizji 2004 – Rusłana – nagrała płytę, zrealizowała dwa kosztowne teledyski, a także rock operę”

Eureka! A więc po przeczytaniu książki dowiem się, co zainspirowało Rusłanę do tak obszernego i naprawdę dobrze zrealizowanego projektu.

Szybko zabrałam się do lektury, która wszystko rozjaśniła. Tekst piosenki opowiadał historię Łani – wcześniej opisaną przez Marinę i Siergieja Diaczenków. Teledysk zaś stanowił swoistą ilustrację całości.

Podczas lektury wszystko się zaę-biało; „widziałam” w książce obrazy zwizualizowane w teledysku. Słuchając piosenki, „słyszałam”, wręcz „czułam”, zakłęta w powieści muzykę. Było to kapitalne uczucie obcowania z prawdziwą sztuką we wszystkich jej przejawach. Synteza literatury i muzyki tworzy genialny efekt. Zaczynamy odbierać dany utwór w sposób dualistyczny: na wyobraźnię działają czytane przez nas litery, a bodźce słuchowe wzmacniają siłę wyobraźni. Odbiór staje się ciekawszy i pełniejszy.

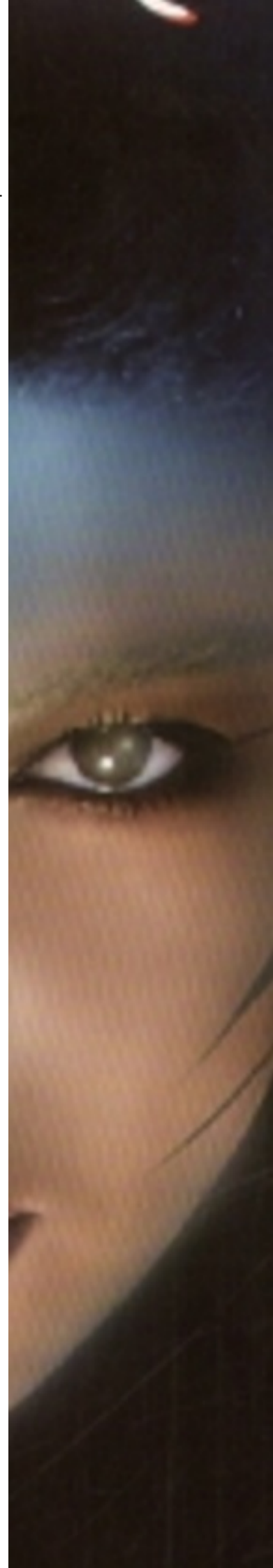
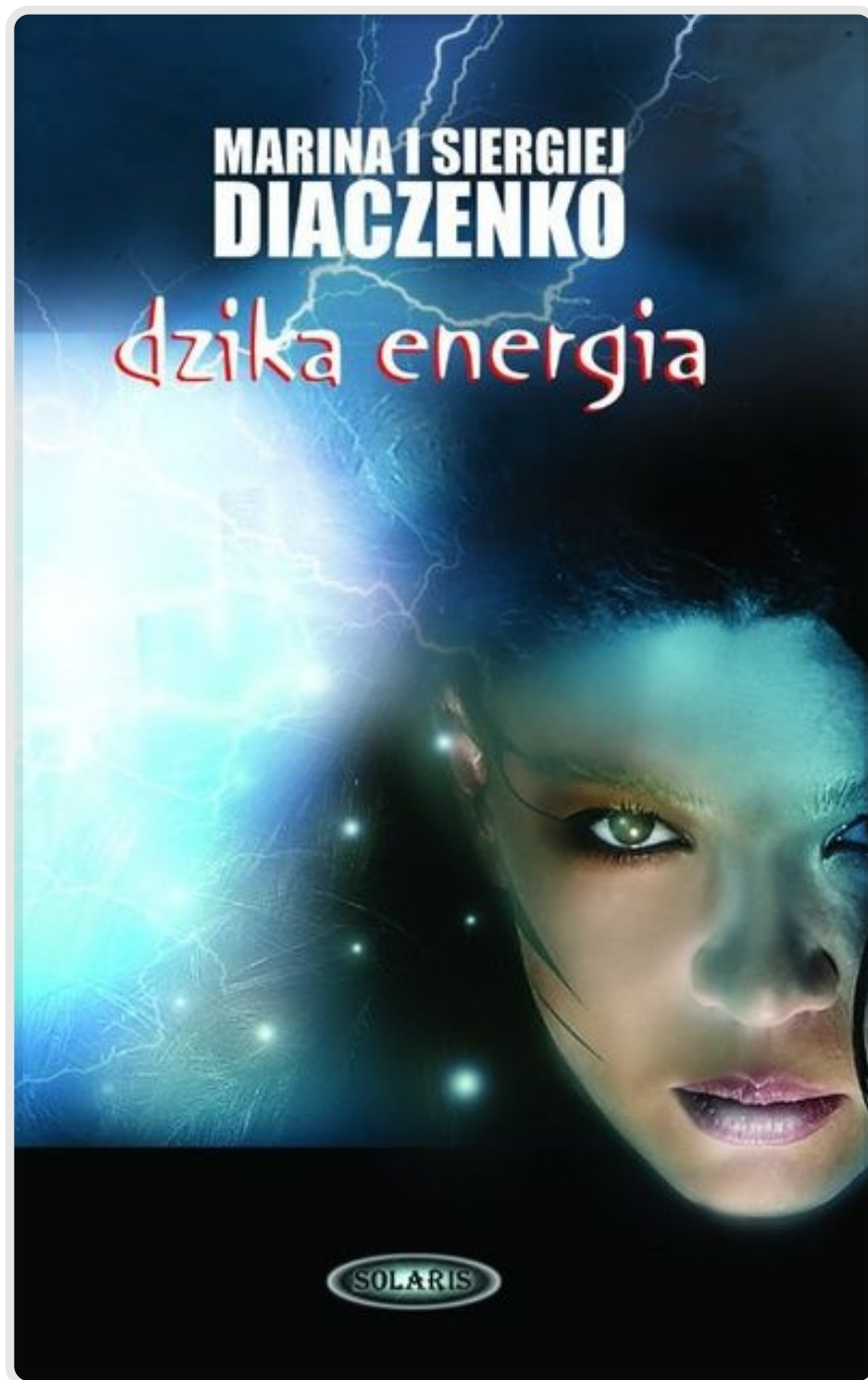
Każdy, kto kiedykolwiek próbował coś napisać, wie sporo o potędze inspiracji. O ile przekonałam się, że muzyka może być źródłem natchnienia dla pisarza, o tyle do sytuacji odwrotnej podchodziłam raczej sceptycznie. Teraz wiem, że zupełnie niesłusznie – Rusłana udowodniła, że



powieść może stać się świetnym materiałem do eksperymentów muzycznych. Tym samym potwierdziła słowa swojego uzdolnionego rodaka, Jurija Andruchowycza. W książce „Ostatnie terytorium” pisze on, że „bodźcem do pisania może być (...)

wszystko na świecie”.

A zatem: inspirujmy się i twórzmy! Zdajmy się na własne wyczucie, gust literacki i muzyczny. Kto wie, może to właśnie my stworzymy coś nietypowego, łączącego w sobie różne rodzaje sztuki?



MARTA GRUZŁO

## OD OGÓŁU DO SZCZEGÓŁU

**S**chemat. Powtarzalność. „To już było”. „Jest tysiąc historii/postaci, jak ta.” Szablon. Odwzorowanie.

Sama nie zwracałam na to uwagi. Aż do chwili, kiedy pewien pisarz powiedział mi, że bym nigdy nie naśladowała czyichś pomysłów. Wtedy dopiero zrozumiałam, jakie to istotne! Teraz, kiedy to piszę, brzmi to jak coś absurdalnie oczywistego. Wygląda jednak na to, że oryginalność i nieprzewidywalność są późniejszymi odkryciami - najpierw kładziemy nacisk na sam fakt stworzenia historii. Czytając prace innych ludzi na różnych etapach ich rozwoju pisarskiego zauważyłam, że tak to chyba już jest, że każdy, kto zaczynał pisać, podążał za kimś, szedł istniejącą już drogą. Sztuką jest zejście z przetartej ścieżki i deptanie własnej. Szablon może być zaledwie mostem do przejścia, ale także pułapką na twórców.

Trzeba przyznać, że nie da się go do końca uniknąć. Gdy przychodzi nam do głowy pomysł, istnieje pewne prawdopodobieństwo, że ktoś coś podobnego już stworzył. Jest to zupełnie naturalne, bo przecież z tego co przeczytaliśmy i obejrzelśmy, na zawsze pozostają w nas jakieś ślady, skojarzenia. Szablon trzeba więc odpowiednio

wykorzystać – jeśli już nam się trafia, to oprzyjmy się na nim i zacznijmy go pomału przerabiać. I tu właśnie potężną bronią okazuje się być szczegół. Drobną, niezauważalną cechą charakteru. Mała rzecz, a cieszy. Nasza osobowość składa się właśnie z takich drobiazgów.

Chciałabym teraz skupić Waszą

uwagę na postaciach. Pomyslcie przez chwilę o Waszych znajomych. Tomek nie lubi siadać na ławkach w parku, Asia potrafi zadzwonić tylko po to, by dowiedzieć się od Was, w jaki sposób porządkujecie swoje notatki z zajęć, Szymon śmiesznie marszczy brwi, kiedy się zamysli, Marta jest tak blada, że ludzie często ją pytają,

czy nie jest chora. Każdy z nich czymś się wyróżnia, prawda? Każdy z nas. Bynajmniej nie chodzi o coś spektakularnego, nawet nie o coś nietypowego, ale o rzeczy całkiem przeciętne.

Jaką rolę pełni szczegół? Czyni postać jedyną w swoim rodzaju, czyni ją żywą, sprawia, że podążanie za jej losami staje się przyjemne, a ona sama zapada nam w pamięć. Gdy autor pierwszy raz w swojej opowieści wspomina Zenona, który następnie znika, by po pięćdziesięciu stronach zadzwonić do głównego bohatera, niejeden czy-





telnik podrapie się w głowę i zacznie energicznie przerzucać kartki wstecz (oby się nimi tylko nie pokaleczył, albo ich nie podarł), mruczając pod nosem to nieszczęsne imię. Gdyby jednak napisać o Zenonie, że jego cechą charakterystyczną jest wieczny wyszczerz od ucha do ucha, czytający prędzej go zidentyfikuje.

Istnieje kilka typów postaci szablonowych; rzucają mi się w oczy zarówno w literaturze jak i w kinie. Podzielę się z Wami dwiema najbardziej powszechnymi „kategoriami”:

1. Twardzielka-outsiderka (oraz jej męski odpowiednik) – zawsze ubrana na czarno, z mnóstwem kolczyków i tatu-

aż, bezlitosnym błyskiem w oku, papierosem w ustach i o oczach obrysowanych czarną kredką. Jest oschła, pozbawiona skrupułów, nie zawaha się przed niczym, no i jest taka twarda...

2. Kobieta kobieca aż do przesady – przeciwieństwo twardzielki. Zawsze starannie pomalowana, uczesana i na szpilkach. Jej hobby to robienie zakupów i plotkowanie z przyjaciółkami na temat facetów.

Myślmy zawsze starannie o naszych postaciach. Przygotujmy je. Stwórzmy. Opiszmy je sobie wcześniej. Poznajmy je, w ramach prac przygotowawczych. Uczyńmy z nich ludzi.

### *Daniel Abraham* **Smocza droga**

Wszystkie drogi prowadzą do wojny...

Marcus dni bohaterstwa ma już za sobą. Zbyt dobrze wie, że nawet mała wojenka będzie oznaczać czyjaś śmierć. Gdy jego ludzie zostają wcieleni do przegranej armii, uniknięcie walki, w której nie chce brać udziału, będzie wymagało powzięcia niecodziennych kroków.

Cithrin to sierota, będąca pod opieką banku. Jej praca polega na szmuglowaniu bogactw przez strefę wojny, tak, aby złoto nie dostało się w ręce żadnej ze stron. Ale choć dziewczyna zna tajniki handlu od podszewki, to strategie handlowe nie uchronią jej przed wrogimi mieczami.

Gedera, jedyne spadkobiercę szlacheckiego rodu, filozofia interesuje bardziej niż wojna. Będąc marnym żołnierzem, staje się jedynie pionkiem w grze. Jednak nikt nie jest w stanie przewidzieć, jaką rolę przyjdzie mu odegrać.

Spadające kamyki mogą wywołać lawinę. Waśń pomiędzy Wolnymi Miastami a Rozdartym Tronem wymyka się spod kontroli. Z pomroków historii wyłania się nowy gracz, podsycając płomienie, które sprowadzą cały region na smoczą drogę - drogę prowadzącą ku wojnie.



## JAK (NIE) PISAĆ?

**C**zasem zdarzy nam się przeczytać książkę, taką rewelacyjną. Perypetie bohaterów dobiegają końca, a my zamykamy okładkę i żalujemy, że nie ma już nic dalej.

Gdyby się zastanowić, co nam się w tej lekturze podobało, pewnie trudno byłoby te cechy wyszczególnić. W dobrze napisanym dziele, takim które czyta się z prawdziwą przyjemnością trudno zauważyć niedociągnięcia, choć przecież książek idealnych nie ma. Czytając, nie widzimy już liter, słów, znaków interpunkcji, tekst jest tylko nośnikiem znaczeń sterujących naszą wyobraźnią.

Zupełnie inaczej sprawa się ma z książkami napisanymi źle, wręcz zgoła nudnymi. Nawet jeśli do czytania uda się ciężkim wysiłkiem zmusić, zauważymy każde niedociągnięcie. Biała więc autorom historii nieciekawych.

Nasuwa się pytanie: Jak pisać ciekawie? Niestety, nie ma na nie prostej odpowiedzi. Czy już zawsze młodym adeptom przyjdzie błądzić we mgle i rozwiązań szukać po omacku? Na szczęście nie jest aż tak źle. Z pisarstwem jest bowiem trochę tak, jak z programowaniem. Nie da się bowiem żadnymi testami sprawdzić, czy program jest w pełni prawidłowy, da się jednak metodą eliminacji wykluczyć błędy.

Nim napiszę o podstawowych wpadkach, które komentując teksty naszego forum dostrzegam, pozwolę sobie na kilka słów wyjaśnienia.

Nie jestem polonistą, ani tym bardziej filologiem, mam wykształcenie techniczne, niemniej jednak to i owo z pewnymi sukcesami udało mi się napisać. Sporo również czytam, pewne rzeczy lubię, a innych nie. Artykuł ten będzie więc nieco subiektywny, jak zresztą subiektywne są gusta każdego z nas.

Myślę jednak, że pewne prawdy obiektywne również uda się w nim zawrzeć. Według pierwszego zamysłu w tekście tym miały się znaleźć przykładowe fragmenty opowiadań z naszego forum, ilustrujące najczęściej popełniane błędy. Zrezygnowałem jednak, uznawszy, że byłoby dla autora przeżyciem nazbyt traumatycznym, znaleźć własny tekst jako "najlepszy przykład złego przykładu". Tyle tytułem wstępu.

Zanim zagłębimy się w sprawę błędów, manier i pomyłek, proponuję nieco teorii psychologicznej na temat działania tzw. "umysłu nieświadomego" albo inaczej podświadomości.

Wiadomo zapewne wszystkim, że w każdej chwili, od wszystkich zmysłów dociera do naszego mózgu ogromny natłok informacji. To samo dotyczy impulsów będących na te bodźce odpowiedzią. Tak wielki zalew sprawiałby, że nasze umysły, analizując wszystko na raz, popadłyby zapewne w paraliż informacyjny, dokładnie tak jak zwalniają i zawieszają się przeciążone komputery. Ewolucja musiała sobie poradzić jakoś z taką ewentualnością, stąd pewne charakterystyczne cechy naszej percepcji.

Przede wszystkim bardzo dużo informacji obrabianych jest już na poziomie podświadomym. To, że idąc zamysłonym, przebieramy nogami, oddychamy, omijamy (w większości) przeszkody, drapiemy się odruchowo... jest zasługą umysłu podświadomego. Nasza świadomość dostaje tak naprawdę tylko kluczowe, najważniejsze informacje: albo takie, które mają znaczenie "alarmowe", albo te, których akurat potrzebujemy i poszukujemy. Całkiem niedawno wspomniano o tym w artykule "niewiarygodność zeznań świadków".

Co jednak z tych rozważań wynika dla adepta sztuki pisarskiej? Wbrew



pozorom całkiem sporo.

Wyobraźnia jest bowiem jednym z narzędzi, umożliwiającym nam abstrakcyjne myślenie, czyli tę właśnie cechę, która odróżnia nas od zwierząt. Warto pamiętać również, że nasze umysły zostały zoptymalizowane do wysnuwania trafnych wniosków przy możliwie najmniejszej ilości danych (co często ratowało skórę naszym przodkom). Należało bowiem dość szybko ocenić, czy ledwie widoczny w krzakach kształt jest czymś, co nadaje się do zjedzenia, niebezpiecznym drapieżnikiem, czy może osobnikiem tego samego gatunku, lecz płci przeciwnej. W pierwszym wypadku trzeba gonić, w drugim uciekać, w trzecim... no sami rozumiecie... Jednak zawsze śmiertelnie kluczowa była szybkość decyzji. Być może nieco strywalizowałem, ale chodziło o wydobycie ogólnej zasady: szybka decyzja na podstawie minimum danych zewnętrznych, uzupełnionych tymi zawartymi w naszej pamięci.

Słowa to symbole oznaczające rzeczywiste obiekty, z tego powodu nasi przodkowie nadawali im często znaczenie magiczne. Wypowiadając słowo, można przywołać obiekt. Nasz umysł na ich podstawie tworzy obrazy. Usłyszysz "krzesło" i zobaczysz ten mebel w swojej wyobraźni. Nawet jeśli nie określe jak ono ma być i tak będziesz je widział, takie jakie na co dzień widzisz. Ot pierwsze lepsze, ale jednak krzesło. Widzisz jak mało informacji potrzeba wyobraźni? Cała reszta jest uzupełniana z Twojej pamięci, zapisanej wcześniej doświadczeniami.

Było pojedyncze słowo, weźmy teraz całe zdanie: "Jaś je jabłko." Zdanie krótkie, a jakże bogate w treść.. Zapewne ujrzałeś teraz chłopca (wszak o dorosłym napisałbym raczej - Jan), on stoi lub siedzi, ma jakieś ubranie, oddycha, mruga, trzyma w ręku to jabłko (które według twoich doświadczeń może być rumiane bądź zielone), nagryza, żuje, przełyka, towarzyszy te-

mu charakterystyczny chrzęst. Jest jakieś światło, otoczenie..

Napisałem Ci zaledwie trójwyrazowe zdanie, skąd więc reszta? Twoja wyobraźnia wykonała tyle pracy i stworzyła scenę, korzystając z moich wskazówek (zdanie) oraz Twoich, zmagazynowanych w pamięci doświadczeń. Oczywiście zdanie można rozbudowywać: "Jaś je zielone jabłko". (tu Twoja wyobraźnia zapewne skrzywiła się na wspomnienie kwaśnego owocu), i tak dalej, uszczegóławiając w miarę potrzeb opisywaną scenę.

Jaki z tego wniosek? Pisząc dowolny tekst, prowadzimy wyobraźnię czytelnika, podając mu tylko tyle szczegółów, aby mógł sobie stworzyć spójny obraz opisywanej przez nas akcji. Każdy dodawany przez nas element musi mieć swoje miejsce i znaczenie. Obraz widziany w wyobraźni czytelnika, z tym w głowie autora nie musi być identyczny w stu procentach (nawet nie powinien taki być). Musi się zgadzać jedynie w elementach kluczowych, koniecznych do prowadzenia narracji, reszta to własna twórczość odbiorcy. Najlepsza, bo jego własna. Nie znaczy to, że miejscami nie warto wprowadzić za pomocą dokładniejszego opisu, jakiegoś gustownego detalu. Wszystko jednak z umiarem. W przeciwnym razie, pod natłokiem źle rozmieszczonych szczegółów, system nie zadziała i w umyśle odbiorcy nie pojawi się barwny, ruchomy obraz akcji, na którym tak nam zależy.

Z nieznamości tych zasad wynika pierwszy z grzechów kardynalnych, popełnianych przez adeptów pisarstwa, czyli nadmierna skrupulatność. Autor stara się opisać każdy atom w uniwersum jego opowieści. Przypadłość ta dotyczy przede wszystkim tych, którzy wcześniej uczestniczyli w rozgrywkach RPG. Takich klasycznych, mówionych. Skutkiem natłoku informacji, każda scena, nawet te bitewne, z założenia bardzo przecież dynamiczne, rozciągają się w nieskoń-

czoność. Z powodu nadmiaru szczegółów nie do ogarnięcia, czytelnik zaczyna ziewać. Warto trzymać się zasady, że wartkiej akcji towarzyszy równie zwięzły i dynamiczny opis. Reszty dokonania wyobrażenia naszego odbiorcy.

Z nadmiarem szczegółów wiąże się również błąd kolejny, czyli wprowadzenie zbyt wielu nie objaśnionych nazw własnych. Dokuczliwy szczególnie wtedy gdy są one praktycznie niezapamiętywalne.

Wielu publikujących fantastykę na łamach Via Appii, tworzy imiona bohaterów i nazwy miejsc metodą chomicho - kocią, czyli wpuszcza na klawiaturę jedno ze wspomnianych zwierząt, uzupełniając potem hojnie uzyskany ciąg literką "r".

Zastanawiam się po co tyle zachodu, czy szanujący się wojownik nie może mieć na imię Mietek? Z takich nazw i imion tworzy się w skołatanej głowie czytelnika kogelmogel literkowy. Biedak już nie wie, czy "Gerearna" - to imię wojowniczej córki Tarerolda wodza Darenów, a może nazwa krainy leżącej na brzegu zatoki Morereawskiej, lub też nazwa krasnoludzkiej knajpy na rogu ulicy Narrejskiej i Epirawejskiej. Ufff, no i sami widzicie czego trzeba unikać.

Gorzej jeszcze ma się sprawa, gdy autor postanowi świat swojej opowieści uczynić zupełnie niepodobnym do naszego i uroi sobie np. "rytwiany" zamiast rydwanów (bo nie ciągnięte przez konia, tylko pchane), wymyślając urządzeń takich bezlik cały, a o tym co to takiego jest, nie raczy czytelnika poinformować. Najlepiej jeszcze, jeśli nazwy da mylące, bo podobne do przedmiotów użytkowanych w naszym uniwersum. Może być wówczas pewny, że biedny odbiorca jego dzieła dość szybko w nim utknie, zapewne objawiając lekkie conajmniej pomieszenie myśłów.

Obydwie te maniery złożone jeszcze zazwyczaj z bardzo dziwną archaizacją, nazywam na swój własny

użytek "Narracją dręcząco - wkurzającą" i stanowczo odradzam, bo potrafi czytelnika zniechęcić po kilku zaledwie akapitach.

Oczywiście uniwersum dobrej powieści fantasy powinno odbiegać od naszego, ale te różnice (szczególnie takie, które są naszymi własnymi patentami) należy wprowadzać powoli z odpowiednim objaśnieniem. Ale i tu trzeba być nader ostrożnym, żeby nie popaść w kolejną skrajność. Nazywam ją "Wstępem męcząco - objaśniającym". Świeżo upieczony literat, zaplanowawszy w najdrobniejszych szczegółach realia dzieła, informuje czytelnika od pierwszej strony, że Gadzio był synem Adzia, zamków mieli siedemnaście, a wiosna tego roku była nadzwyczaj ciepła, przez co muchy wyjątkowo obrodziły. Czasem (o zgrozo) wywodzi z mety całą historię świata, poczynając od pierwszego pierdnięcia ichniejszego stwórcy. Nie ma wtedy znaczenia, że od strony dziesiątej zaczyna się niesłychanie zajmująca intryga, a zakończenie rozsadza wzruszeniem nawet skałę. Nasz czytelnik się tego nie dowie, bo najdalej po pięciu stronach nudnych geograficzno - historyczno - genealogicznych wywodów, najzwyczajniej w świecie czytanie sobie odpuści.

Osobiście namawiam Was do rozpoczynania swego tekstu tzw. "zajawką". Czyli fragmentem wartkiej akcji, lub intrygi, która związana jest silnie z główną osią powieści. Może to być nawet coś, co wydarzy się później, wtedy akcja się urwie, a my będziemy mogli pisać obszernie jak do owego wydarzenia doszło. Uwierzcie, raz zainteresowany czytelnik jest w stanie przedzierać się przez naszą pisaninę, by dotrzeć do rozwinięcia akcji z zajawki. Wniosek: Trzeba zaintrygować odbiorcę już na pierwszych stronach!

Jeśli mowa o nudzie. Wyobraźcie sobie, że oglądacie pełnometrażowy film fabularny, w którym kamera operuje jednym tylko ujęciem zza pleców boha-



tera. Cały czas jednakowo, jak w niektórych grach. Czy taki film miałby szansę być ciekawy? Czy byłby w stanie zaskakiwać? Oczywiście że nie. Plastyka takiego obrazu w dużej mierze polega właśnie na zmianach ujęć i dynamice montażu.

Pisząc dowolne opowiadanie, również dzielimy je na sceny, w scenach tworzymy ujęcia. Tyle że skutek naszych działań czytelnik widzi dopiero w swojej wyobraźni. Nie męczmy go więc monotonią w stylu: Bohater zrobił to, poszedł tam, powiedział co innego...

Cały czas, jakby czytelnik siedział mu na ramieniu.

Przemyślimy dokładnie sceny, które chcemy napisać. Czasem warto zacząć od zupełnie nieważnego szczegółu (np. wrony na płocie) by uzyskać ciekawe fabularnie ujęcie. Akcja nie zawsze musi być



opowiadana z punktu widzenia głównego bohatera, może być widziana z perspektywy innej postaci, wchodzącej w interakcję z tym głównym, kota, wrony, szafy, kotleta na talerzu, czy czegośkolwiek innego. Ważne, żeby te zmiany narracyjne umieścić, bo bardzo odświeżają akcję. Na dobrą sprawę linio-wość sprawdza się w dziełach bardzo krótkich. Takich w rozmiarach miniaturki.

No i niejako na sam deser pozostaje kwestia dialogów. Czy w opowiadaniu być powinny, czy nie, spiera się wielu znawców. Moim skromnym zdaniem są potrzebne, i to nawet w znacznej proporcji. Dialog również może

opowiadać, pod warunkiem oczywiście, że poprowadzony jest dobrze. Te sztuczne, nadęte i przeintelektualizowane tylko tekstowi zaszkodzą. W ramach ćwiczenia przysłuchuj się proszę rozmawiającym ludziom. Wiem że podsłuchiwanie to brzydka cecha, ale ja mówię nie o poznawaniu treści, ale formy. Zauważysz zapewne, że rozmówcy rzadko używają zdań wielokrotnie złożonych, co najwyżej jeśli bohater wygłasza przemówienie. Zwykle mówi się zdaniami prostymi i równoważnikami. W dialogu występują takie wyrazy

dźwiękonaśladowcze, jak "aha"

"mhm" itp.

Rozmowie towarzyszy mimika, gestykulacja.

To wszystko uwzględnione w tekście opowiadania na pewno go uwiarygodni. Warto również pamiętać, że innym zasobem słów będzie posługiwał się cza-

rodziej, czy wykładowca uniwersytetu, a innym prosty wieśniak gdzieś z dziurki kołkiem zabitej.

Pozwoliłem sobie wspomnieć zaledwie o kilku co powszechniejszych pułapkach literackich. Teksty bowiem potrafią cierpieć na rozliczne przypadłości, choćby te stylistyczne, jak ciężka zaimkoza ze szczególnym przerostem zwrotnego "się", wbrew pozorom nader często spotykana. Ale o błędach typowo gramatycznych można poczytać w licznych na ten temat pracach. Z mojej zaś strony pora kończyć wywód, mając nadzieję, że skromne rady pozwolą Wam uniknąć co powszechniejszych, literackich potknięć.

nie mam siły upierać się przy tym  
że świat zyskał na twoim istnieniu  
jednak cały w tym świata pozytyw  
że cię przyniósł ku swemu zbawieniu

i na przekór w tę prawdę wątpiącym  
oddam za nią i krew swą i ciało  
tym spragnionym i tym głodującym  
jeśli tego zaś będzie im mało

niech mi miejsce wyznaczą i oręż  
będę bił się o ciebie nim skonam  
nim twych wrogów ze sobą zabiorę  
gdzie nie dotrze twych perfum aromat





TAJM

## NIE JESTEM (AUTOPORTRET)

nie jestem

jestem robotem  
surrealistą  
ty łapiesz mnie  
za moje małe stópki  
i używasz jak pędzla  
brak puenty  
jest ripostą  
na wszystkie twoje oczekiwania

KSIEŻNICZKA

## GROBIAŹDZEK

Na pobliskim cmentarzu, gdzie wieczorami  
lubił wietrzyk potrząsać gałęziami  
międzygrobny i cichy zamieszkiwał przestwór  
grobiażdżek, taki stwór-niestwór,  
co ani się płacze, ani błąka, po okolicznych niełakach.  
Jesienią wysnuwa się między prętami  
cmentarnych bramek, furtek ogrodowych,  
ze szczytu murów, po liściach bluszczu,  
lekko między ogrodowe klomby  
potrącać, poprzekomarzać się z kwiatami,  
co opadłe po takiej zabawie  
mieszają się z liśćmi zszarzałymi w trawie.

Czasem na wieczornej po lesie przechadzce  
niby-usłyszysz, za krzakiem coś szepce.  
Zawahasz się, przystaniesz, złękiesz się szelestem  
"co to? gdzie...?" skórę muśnie dreszczem, a to?  
nic... grobiażdżek.





jestem kobietą najogólniej stara Ewa  
z przestrzeni niewidzialności  
tu na zewnątrz siebie  
na granicy wyobraźni  
oczekuję rzeczy niezwykłych które  
i tak dokonują się już tylko we mnie

wolność bez kalendarza  
słowem pękam ze śmiechu  
słowem wyplakuję się na śmierć  
i wariuję z gorliwością biednego błazna

miłości  
spełniają się teraz w wierszach  
prawdziwa była ostatnim prezentem  
poza nią nie ma już nic







JEŚLI CHCESZ SPRÓBOWAĆ SIĘ W PISANIU - AM JEST ŚWIETNYM MIEJSCEM!  
MOŻESZ MÓWIĆ O CZYM TYLKO CHCESZ: PUBLICYSTYKA, GRY, FILM, KSIĄŻKA, MUZYKA,  
OPOWIADANIA - JESTEŚ OGRANICZONY JEDYNNIE WŁASNĄ WYOBRAŹNIĄ.

KAŻDY TEKST TRAFI NA STRONĘ GŁÓWNA, GDZIE MOŻESZ ZASIĘGNAĆ PRZYJACIELSKIEJ  
PORADY - A JEŻELI TWÓJ ARTYKUŁ BĘDZIE WYSTARCZAJĄCO DOBRY, TRAFI TUTAJ.

## KONTAKT:

actionmagonline@gmail.com

[www.actionmag.pl](http://www.actionmag.pl)



redakcja:  
naczelný - Gregorius  
reszta - DoxtraduS, Pówień Gósc,  
Donald, Obywatel, JollyRoger

Action Mag jest integralnym miesięcznikiem czasopisma CD-Action, copyright Wydawnictwo Bauer. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i redagowania tekstów. Wszystkie materiały zostały wykorzystane za zgodą ich właścicieli. Zabrania się kopiowania, bądź rozpowszechniania całości/fragmentów artykułów bez zgody ich autora. AM 2013.



**MATEUSZ NIEWIADOMY**  
**UTOPIA**

**Utopia - W. Szymborska**

Wyspa na której wszystko się wyjaśnia.  
Tu można stanąć na gruncie dowodów.  
Nie ma dróg innych oprócz drogi dojścia.  
Krzaki aż uginają się od odpowiedzi.

Rośnie tu drzewo Słusznego Domysłu  
o rozwikłanych wiecznie gałęziach.  
Olśniewająco proste drzewo Zrozumienia  
przy źródle, co się zwie Ach Więc To Tak.

Im dalej w las, tym szerzej się otwiera  
Dolina Oczwistości.  
Jeśli jakieś zwątpienie, to wiatr je rozwiewa.  
Echo bez wywołania głos zabiera  
i wyjaśnia ochoczo tajemnice światów.

W prawo jaskinia, w której leży sens.  
W lewo jezioro Głębokiego Przekonania.  
Z dna odrywa się prawda i lekko na wierzch wypływa.  
Góruje nad doliną Pewność Niewzruszona.  
Ze szczytu jej roztacza się Istota Rzeczy.

Mimo powabów wyspa jest bezludna,  
a widoczne po brzegach drobne ślady stóp  
bez wyjątku zwrócone są w kierunku morza.  
Jak gdyby tylko odchodzono stąd  
i bezpowrotnie zanurzano się w topieli.

W życiu nie do pojęcia.

Wieść gminna niesie, że przykładając  
do ucha muszlę, słyszać w niej szum  
morskich fal. To fakt. Słyszałem szum  
falującej wody. I to był pierwszy zmysł,  
który się uaktywnił po restarcie. Ewi-  
dентnie byłem po imprezie. I chociaż  
zazwyczaj budzę się wtedy z głową w  
muszli ze sformatowaną pamięcią, to  
nie dochodzi mnie żaden szum. Chy-  
ba, że przypadkowo pociągnę za  
słuchkę.

Teraz było inaczej. Przede wszystkim  
nie śmierdziało rzygowinami.  
Najpierw pomyślałem, że straciłem

węch. Mam wielki nochał, więc zrobiło  
mi się przykro, że od tej pory będzie  
pełnił tylko funkcję dekoracyjną. Nie  
podała mi się ta wizja. Mój nos jest  
cholernie postmodernistyczny. A ja nie  
lubię współczesnej sztuki. Dlatego  
mam w domu jedno lustro. I to zasło-  
nięte. Świetne rozwiązanie dla posia-  
dacza paskudnej twarzy, ale nieco  
gorsze wyjście dla tych, którzy chcieli-  
by stwierdzić obecność wampira.

Kiedy odkleiłem górne powieki od dol-  
nych, moim oczom ukazał się prze-  
dziwny widok. Plaża, palmy, błękitna



woda, mewy...

Trochę się przestraszyłem. Nie żebym nie marzył o takich krajobrazach codziennie, zwłaszcza siedząc w pomieszczeniu z widokiem na ścianę warsztatu samochodowego.

- To przez to sushi - wywnioskowałem, tłumacząc ryżem zawijanym w rybę utratę pamięci i obecność w dziwnym miejscu.

- Witaj! - usłyszałem głos zza pleców.

- Aaa! - wydarłem się przerażony. Ze strachu piasek wyleciał mi z nosa i okazało się, że jednak mam w pełni sprawny węch. Wyczułem podstęp.

Chyba tylko najgłupszy naiwniak nie podejrzewałby, że coś jest nie tak. Niebiańska plaża, piękna długowłosa kobieta w skąpym stroju z liści pal-mowych, zakrywającym tylko najbar-dziej intymne zakamarki ciała (oprócz pach). Jeśli istniał zbiór pojęć, zawierających się pod słowem NORMALNOŚĆ, to ja mogłem go oglą-dać tylko z zewnątrz. I to gdzieś na horyzoncie.

Mój spryt, połączony z niebywałą czujnością, podpowiadał mi, żeby w żadnym wypadku nie dać się zwieść tej kobiecie o bujnych kształtach. Kto wie, może to był podstępny demon, który chciał mi wyžreć serce lub mózg? Albo, co gorsza, hostessa zaprasza-jąca na darmowy pokaz garnków, z którego wyjdę z całym naręczem patelni za dwie pensje.

Przyrzekłem sobie, że cokolwiek by się nie działo, nie ulegnę jej urokowi, odmówię wszelkim prośbom i będę ją ignorował.

- Nazywam się Rebeka - przedstawiła się, prezentując lśniące, białe ząbki.- Przejdziemy się? - zaproponowała.

- Jasne - przytaknałem.

Cholera. Nie przewidziałem, że musiała być wyszkolona w jakimś CIA albo KGB i znała sztuczki nawet na takich spryciarzy jak ja. Na pewno zastosowała przewrotne tricki psychologiczne połączone z działaniem na podświadomość. Ok, przejdę się z nią. Ale nie zaufam jej. Będę się pilnował.

- Napijesz się? - spytała, podając mi wydrążoną łupinę kokosa.

- Chętnie - powiedziałem i upiłem kilka łyków.

Cholera. Cholera.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałem.

Ha! Teraz ja tu będę zadawał pytania. Rozglądałem się uważnie dookoła. Typowy krajobraz tropikalnej wyspy. Obieciałem wzrokiem otoczenie, po czym rozpocząłem tajną inwigilację przeciwnika, mającą na celu wykrycie urządzeń podsłuchująco-namierzających. Pewnie było tu tego mnóstwo. GPS, satelity i te sprawy.

- Gapisz mi się w cycki?

Cholera. Cholera.

- Skąd! Coś mi wpadło do oka - wybrnąłem i popadłem w samozadowolenie. Zawsze umiałem sobie radzić w takich sytuacjach.

- Jesteśmy na wyspie Utopia- oznajmiła, jak gdyby nigdy nic. Siedziałem trochę na mapach Google i nie mogłem sobie przypomnieć, żebym o takowej słyszał. Może akurat była pod chmurami?

Już miałem spytać o dokładne współrzędne, gdy nagle poczułem ukłucie w bosą stopę. - Auć! Co za cholerstwo? - Nie ukrywałem oburzenia. Niech wie, że potrafię być bestią. Odkleiłem przyklepiony do pięty kawałek plastiku, który sprawił mi tyle bólu i przysunąłem go do twarzy.- To czyjś dowód osobisty!- stwierdziłem zdumiony.

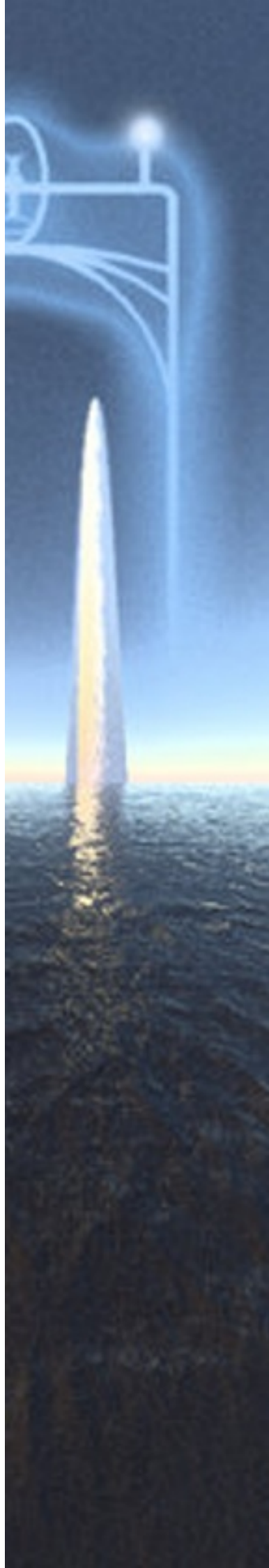
- Zgadza się - z radości aż klasnęła w dłonie. - Właśnie stanąłeś na gruncie dowodów - wyjaśniła.

Spojrzałem na nią tak, jak się patrzy na żółwia, wygrywającego wyścig na dwieście metrów przez płotki.

- Że what? - popisałem się płynną angielszczyzną.

- Chętnie wszystko ci wyjaśnię, bo na tej wyspie wszystko się wyjaśnia - rzekła rozpromieniona i zatoczyła ręką koło.

Nie ukrywam, że w tym momencie czekałem, aż zza krzaków wyjdzie prezydent, ludzie z kamerami i ekipa z



## KONKURS "RADOŚĆ PISANIA" II MIEJSCE

kwiatami, wszyscy będą się chichotać i klaskać, a gość z mikrofonem krzyknie: "Mamy cię!", a potem wszyscy wybuchną głośnym śmiechem i będą mnie klepać po plecach i polewać szampana. A jak się wszystko ładnie ułoży, to pójdę z Rebeką do łóżka.

Ale krzaczory pozostawały nieruchome.

Przyjrzałem się dokładnie temu, co mam pod nogami i rzeczywiście w piasek powtykane były tu i ówdzie kolejne dowody osobiste. Setki, tysiące.

Rebeka schyliła się i podniosła jeden z nich.

- O! Prawo jazdy! Dziwne, nie?

Przytaknąłem.

Cóż. Nie musiała być mądra. Ważne, że można się z nią było pokazać kolegom.

Szliśmy dalej w głąb wyspy, a w międzyczasie szukałem po kieszeniach swoich dokumentów, lecz moim łupem padł tylko telefon komórkowy. Z nadzieją spojrzałem na wyświetlacz, ale jedyne co zastałem to lakoniczny napis: brak zasięgu.

- Macie tu gdzie zasięg?

- Nie – powiedziała - ale krzaki uginają się od odpowiedzi - mówiąc to, wskazała na pobliskie chaszczce, które rzeczywiście wisiały nisko nad ziemią, przynięcone białymi kopertami. Z ciekawości podeszedłem bliżej i zerwałem jedną z nich. Wyciągnąłem ze środka zgiętą na pół kartkę, a kiedy ją rozłożyłem, moim oczom ukazał się napis: "w 1982 w Meksyku".

- Co to znaczy? - zapytałem.

- To odpowiedź - wzruszyła ramionami.

- A jakie było pytanie? - dociekałem.

- "Co to znaczy?"

Pacnąłem się w czoło z głębokim westchnięciem. Rebeka była ewidentnie głupia, ale pocieszałem się, że przynajmniej nie ma problemów z pamięcią krótkotrwałą.

- Chodzi mi o to, jakie jest pytanie, którego odpowiedzią jest "W 1982 w Meksyku"? - zapytałem bardzo, ale to bardzo powoli.

- Nie wiem - odparła lekceważąco. - Chyba nie mamy tu krzaka z pytaniami.

Zatęskniłem za domem. Poważnie. Poczuję się zagubiony, z dala od cywilizacji na wyspie dla obłąkanych. Pewnie gdzieś w centrum trójkąta bermudzkiego.

- Którędy na plażę? - widocznie nie potrzebowałem żadnego krzaka, żeby sformułować pytanie. To było naprawdę pocieszające w tych okolicznościach.

- Nie ma dróg innych oprócz drogi dojścia - wytłumaczyła. Spojrzałem w jej piękne oczy, które za pomocą dwóch drucików były najprawdopodobniej podłączone do ptasiego mózdzka. Już miałem coś powiedzieć, gdy nagle poczułem w kieszeni spodni wibrację.

SMS! Jest zasięg! Byłem uratowany! Sięgnąłem po komórkę i odczytałem wiadomość, która głosiła:

"Odbierz kluczyki do swojego BMW! Wyślij sms o treści..."

Dalej nie czytałem. Cisnąłem zdenerwowany telefonem w najbliższe drzewo, a wysłużona komórka roztrzaskała się w drobny mak.

- Ostrożnie! - pisnęła Rebeka i pobięła przytulić się do kory drzewa. Nigdy wcześniej takiego nie widziałem. Wyglądało jak jakiś niewielki dąb, ale miało czerwone liście. - To drzewo Słusznego Domysłu! - jęknęła i zaczęła gładzić korę w miejscu, gdzie ta spotkała się z telefonem.

- Ma cholernie rozwidlane gałęzie - zauważyłem i poczułem się jak wybitny botanik, podróżnik po tropikach, który napotyka na swojej drodze masę niebezpieczeństw, groźnych bestii i dzikich chaszcz. Gardziłem strachem i mogłem jeść obrzydliwe robale, bogate w białko. Obrzydzenie było mi obce. Mogłem przetrwać w każdych warunkach. Walki wręcz z niedźwiedziami, tygrysami i wilkami to była dla mnie codzienność. Z każdych wychodziłem zwycięsko. Blizny, zadrapania, głębokie bruzdy i potencjalnie śmiertelne ra-



ny nie były mi straszne. Śmierci śmiałem się w twarz!

- Aaa! Wąż! - pisałem.

- To patyk - wyjaśniła Rebeka i po odczepieniu moich rąk od jej szyi, postawiła mnie z powrotem na ziemię.

Mruknąłem z nieklamany podziwem na patyk, który miał najwidoczniej funkcję kamuflażu i w razie zagrożenia udawał węża.

- Jak się nazywa? Patyk Odkupienia? Patyk Prawdziwego Szczęścia? - zapytałem i byłem gotowy na każdą odpowiedź.

- Po prostu... patyk - powiedziała.

- Sprytne... - zmierzyłem go wzrokiem, żeby na przyszłość wiedział, z jak niewygodnym przeciwnikiem ma do czynienia. W sumie nie dziwiłem mu się, że na mój widok przybrał wygląd węża. Widocznie przejrzał najmroczniejsze zakamarki mojej psychiki i odkrył, że moją piętą achillesową jest lęk przed węzami.

- Boję się węży - wyjaśniłem Rebecce, która patrzyła na mnie z politowaniem. Jak Indiana Jones.

- Indiana Jones? - upewniła się.

- Właśnie on - powiedziałem zawadiacko i Bóg mi świadkiem, że jak miałbym bicz, to jednym trzaśnięciem z chirurgiczną precyzją oskalpowałbym małą kapucynkę.

Jeszcze raz zmierzyłem patyk wzrokiem i posłałem mu najbardziej pogardliwe spojrzenie z mojego repertuaru pogardliwych spojrzeń, przed którymi niejedna osoba się ugięła i czmychnęła, gdzie pieprz rośnie. To była tajna recepta na komorników.

- Zsikaleś się? - spytała Rebeka, patrząc wymownie na moje spodnie w okolicach krocza.

- Skąd! Bestia splunęła na mnie jadem tuż przed tym, jak zamordowałem ją wzrokiem - zbagatelizowałem. Nie lubiłem zbytniego okazywania litości dla moich ran i blizn.

- To zwykły patyk - upierała się.

Spojrzałem z politowaniem na tę nie-

spelna rozumu kobietę, która mieszkała tu od lat, a nie potrafiła odróżnić normalnego patyka od podstępnego kamuflażu, jaki potrafiły przybrać najprzebieglejsze egzemplarze tutejszej fauny.

Podszedłem do strumyka, by opłukać morderczy jad, ale woda nagle nie wiedzieć czemu się wzburzyła.

- Nie radzę - ostrzegła Rebeka, łapiąc mnie za ramię i odciągając na bezpieczną odległość - to źródło, co się zwie Ach Więc To Tak.

Gwizdnąłem z podziwem na ten wybryk natury.

- Sam jesteś wybryk! - usłyszałem głos.

- Nie przejmuj się - uspokoiła mnie Rebeka - to echo. Czasem bez wywołania głos zabiera i ochoczo wyjaśnia tajemnice światów.

- Ach więc to tak - szepnąłem zdumiony.

- Co? - spytało źródło.

- To źródło gada! - krzyknąłem.

- Słuszny domysł - przytaknęło z podziwem drzewo Słusznego Domysłu. Rozglądałem się nieco spanikowany dookoła, starając się ogarnąć całą sytuację. W końcu wykonałem w tył zwrot i ruszyłem przed siebie.

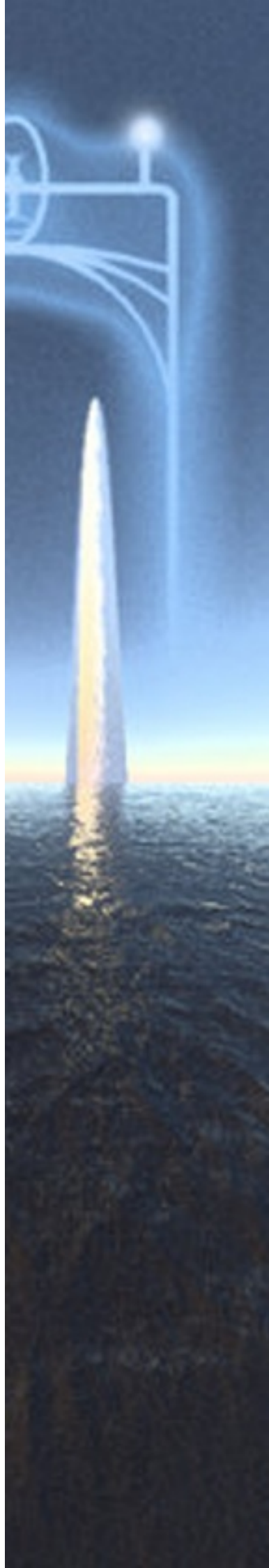
- Gdzie idziesz? - spytała zdziwiona.

- Chcesz wiedzieć? To się przejdź do krzaka z odpowiedziami! - krzyknąłem zirytowany i przyspieszyłem. Miałem po prostu nadzieję, że wyjdę na plażę i znajdę łódkę, co się zwie Spieprzam Stąd, po czym odpłynę w siną dal.

Pod naciskiem stóp łamały się kolejne patyki, czekające na moment słabości, lecz tym razem nie dałem się wyprowadzić z równowagi. Sama wyspa pozornie jest ładna, ale wystarczy chwila, żeby diametralnie zmienić zdanie. Pewnie ogłaszają się w Internecie pięknymi zdjęciami, kusząc niezwykle niskimi cenami gruntów i nieruchomości.

Zapewne złapało się na ten trik mnóstwo studentów.

Kiedy przedarłem się przez ostatnie



## KONKURS "RADOŚĆ PISANIA" II MIEJSCE

krzaki i drzewa, zamiast plaży ujrzałem dolinę. No nawet ładną, trzeba przyznać. Ale wiedziałem, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- To dolina Oczywistości - doszedł mnie głos echa. Pewnie znowu mi tłumaczyło tajemnice światów.

- Ach więc to tak... - syknąłem znieśmaczony.

Już chciał zapytać, dlaczego trawa w

jaskinię.

- Co w niej jest? - zainteresowałem się. Nie zdziwiłbym się, gdyby czekał tam stos tych sprytnych patyków, żeby znów mnie dopaść i rozszarpać na strzępy.

- Sens - powiedziało echo.

- Idziemy tam! - krzyknąłem. - Tego szukałem od początku!

- A nie plaży? - zdziwiła się Rebeka,



dolinie układała się napis: "100 jest podzielne przez 10", ale moje wątpliwości rozwiał wiatr, który przybył nie wiadomo skąd.

- Nasz wiatr specjalizuje się w rozwiewaniu wątpliwości. Turyści nie mogą się go nachwalić - kontynuowało echo. Poczułem się odrobinę nieswojo. A jeśli na końcu wycieczki dostanę rachunek za usługi przewodnika? Nie miałem przy sobie gotówki, a terminali płatniczych pewnie nie mieli, a jeśli już to (znając moje szczęście) nazywały się terminalami Skończonej Miłości i nie obsługiwały kart Visa.

Echo, zupełnie niezrażone, mówiło dalej:

- Po prawej stronie doskonale widać

która, odkąd echo przejęło obowiązki oprowadzającego, nie odzywała się od dłuższego czasu. Musiałem przyznać, że taki stan rzeczy bardzo jej służył.

Skierowałem swoje kroki w stronę rzecznej jaskini, bo potrzebowałem Sensu jak kania dżdżu. Przy okazji pocieszałem się w duchu, że tu naprawdę chodzi o ten Sens przez wielkie "S", a nie jakiegoś krwiożerczego potwora, którego tak ochrzcili.

- A nie chcesz obejrzeć jeziora Głębokiego Przekonania? - zachęcało echo.- Czasami z dna odrywa się Prawda i na wierzch wypływa.

Prawdę mówiąc, nie miałem najmniejszej ochoty. Zatręskniłem za zwykłymi jeziorami, nad które jeździłem ze zna-



## KONKURS "RADOŚĆ PISANIA" II MIEJSCE

jomymi w upalne dni. Tam z dna odrywały się najwyżej chmury mułu, Schodziłem coraz to niżej i niżej, aż w końcu wszedłem w strefę cienia. Spojrzałem w górę na olbrzymi obiekt, który górował nad doliną.

- Co to? - zapytałem, będąc pewnym kolejnej maksymalnie durnej nazwy.

- Pewność Niewzruszona - powiedziała tym razem Rebeka.

Nie zawiodłem się.

- Z jej szczytu roztacza się Istota Rzeczy - odpowiedziało echo.

- Chętnie bym popatrzył, ale ten wasz Sens jakoś bardziej mnie kręci - wytłumaczyłem i kontynuowałem wędrówkę. Czułem, że na tej przeklętej wyspie, na której znalazłem się w niewytłumaczalny sposób, jaskinia z Sensem w środku okaże się jedynym przyjaznym miejscem.

Na początku wędrowałem w ciemności po omacku przez kilka metrów. Kiedyś byłem harcerzem i znałem sposoby na poznanie rozmiarów jaskini.

- Echo! - krzyknąłem.

- Co? - odpowiedziało echo.

Tego się nie spodziewałem. Szedłem więc dalej. Krok po krocisku. Ostrożnie...

Nagle zapaliło się światło.

- Co mnie tu robi? Niech wyjdzie! - usłyszałem zrzędlawy głos starszej kobiety. Kiedy się odwróciłem ujrzałem woźną w niebieskim fartuchu w kwiaty i z chustą na głowie w tym samym kolo-

rze. W ręku trzymała mopa.

- Gdzie jest Sens? - zapytałem z rozpaczą w głosie.

- No znowu się tałatajstwo pochłania i mi sensu szuka w składziku na miotły - fuknęła, okładając mnie włochatym orężem. - W końcu dyrektor się dowie, jak wy nauczyciele polskiego się bawicie w piątki po lekcjach!

Przyznaję bez bicia, że oniemiałem.

Grzecznie wstałem, ukloniłem się, odklepiłem wiadro od tyłka i lekko skulony wyszedłem do pokoju nauczycielskiego, gdzie na stole wały się moje notatki. Pamięć powoli zaczęła wracać.

Spojrzałem na książkę, która leżała otwarta na wierszu o tytule "Utopia".

- Szymborska... Ach więc to tak... - szepnąłem i wtedy wszystko zrozumiałem.

Przeczytałem jeszcze ostatnie wersy. Jak można się dziwić, że wszyscy z tej wyspy dawno spieprzyli? Jakby Szymborska tam kiedykolwiek była, to tak przebiegała nóżkami, że znalazłaby się w Sztokholmie przed kapitułą w dwie godziny.

Za oknem słońce już dawno zaszło. Chciałem się cieszyć na wolną sobotę, ale nie umiałem. Spakowałem torbę i pobieżnie spojrzałem, jaki wiersz będę omawiać z uczniami po weekendzie.

"Stępy akermanskie" Mickiewicza.

Powziąłem gorące postanowienie, żeby w poniedziałek wziąć ze sobą do szkoły kapok.





HALINA ŁOBODA

## NOC GROZY W MOIM MUZEUM

Część 1

### Noc grozy w moim muzeum

zamknij oczy kocie - już po wszystkim  
tu też będzie ci dobrze  
popatrz  
u góry wisi uparta sukienka  
tu się schowała  
gdy śmierć  
ledwie poruszyła klamką

w kącie lutnia  
dziś wyjątkowo smutno brzdąkała  
noc cieniami duchów  
grozy dodawała +  
ktoś szarpał gęstą firanką  
wpuszczając postacie utkane z szeptów

pierwsza przyszła kobieta  
jak zawsze zadyszana  
ze swoim portretem - tam stoi na półce  
przyniosła mi listy umarłych  
nie będę ich w nocy czytała  
weszli zakochani – my tylko na chwilę  
szczęśliwi rozgrzani  
nadal tacy sobą zadziwieni

potem Hania zajrzała po kryjomu  
kurze o czwartej rano  
chciała wycierać z gipsowej głowy  
tej z obtłuczonym noskiem

daleko w lesie już szumiała historia  
umilkła  
bo tu obowiązuje cisza

ostatni przybiegł kot zrozpaczony  
był z nią do końca

uspokojony  
ułożył mi się kolanach  
też piszesz zamruczał zdziwiony  
zanim zasnął



HALINA ŁOBODA

## ZA KURTYNĄ TUPIĄ DEBIUTANCI

Część 2

### Za kurtyną tupią debutanci

„Ale naprawdę podniosłe jest opadanie kurtyny  
i to, co widać jeszcze w niskiej szparze” Wisława Szymborska

Śniły mi się wiersze, schodziły ze sceny, smutne, czarne. Bałam się ich,  
Uciekałam, a one jak muszki mnie obsiadały. Oblepiały oczy, usta  
i wołały:

- winna, kochałam
- winna, zostawiła
- winna, winna

Przekrzykiwały się, a każdy ziajał jakimś żalem. Bałam się strasznie,  
bo nie dawały się odrzucić. Krzyczałam bezgłośnie,  
a one dotykały mnie, przyklejały się do rąk i ust.

Z bezsilności zaśmiałam się histerycznie.

Zamarły, strwożone patrzyły na mnie  
i ruszały swoimi mackami przenośni,  
ale patrzyły zdziwione.

Roześmiałam się znowu, bo miały takie zaskoczone gęby.  
Nie wytrzymały, uciekły.

Wtedy zobaczyłam że jeden został,  
przyglądał mi się uważnie, był taki mały,  
tak bardzo przepełniony goryczą, że wyglądał jak balonik.

Mrugnęłam do niego - podskoczył,  
pomachałam ręką,  
pokazałam, że ma podskoczyć wyżej,  
podfrunąć - kiwał głową że nie.

Otworzyłam okno  
i wtedy wiatr porwał go ku słońcu.

Było już jasno, kiedy obudziłam się i przypomniał mi się sen.  
To już obłąd – pomyślałam.

Kiedyś wmówiono mi, że piszę banialuki, a pisałam wspomnienia;  
nie byłam przecież aniołem.

Tyle wszyscy przemilczamy.

Pamięć zamazuje się szybko w zakłętym pragnieniu akceptacji

Dawniejsze leciwe panie, chyba miały łatwiej  
pustkę wplatały w skarpety dla wnuczków, w palcach przesuwwały korale różańca,  
modlitwą wymazywały wszystko  
i szły prosto do nieba.

Dzisiejszym, szeroko otworzył się świat.  
Stukają w klawiaturę,

## KONKURS "RADOŚĆ PISANIA" II MIEJSCE

Lubią potyczki z młodością, rozmowy bez końca i jedno pytanie,  
ile ty naprawdę masz lat?  
Z posiwiąłą wiedzą, wypchane śmieciami literackiej tandety,  
dostarczanej latami w przyzwoleniu na kicz,  
z ciekawości  
zaglądają na portale literackie  
i wcale nie z głodu, zgryzają poetycką delikatną odmianę „pierdolca”

Kiedyś i mnie pokusiło, weszłam, bo zobaczyłam  
trochę miejsca dla siebie  
i stałam się anonimowym bytem dziwnej społeczności.  
Z początku zawstydzona z racji wieku,  
z naręczem dawnych słów, zaczęłam znowu pisać.

od czegoś trzeba było zacząć...

długo baraszkowałam ze słowami  
potem nosiłam je za poetami  
sprężałam się by im dorównać

dziwne to były teksty  
siadały na wysokich schodach  
w dziwnym świecie stawały się zwykłe  
jak logiczne obrazki baru szybkiej obsługi  
z niewyszukanym menu

banalizm wyhodowany w ścianach mieszkania  
szczeknięcie lata o palącym słońcu  
dzień dobry  
dzień nudny  
kiwanie palcem u nogi

kiedy pożerałam swoje porażki  
zmieniając je w doświadczenia  
na moment wracały zielone pagórki  
stygające plaże  
wieczne morze miłość duma i głód  
zaplątane w wielkim kłębku

mąż przy śniadaniu czytał  
i dziwił się  
właściwie po co? /za przeproszeniem/  
tak o niczym pieprzysz

I rośło moje guano, milion słów bez rewelacji,  
choć wiedziałam że wypchane ptaki nigdy nie latają.  
dalej stukałam te swoje komunikaty - jakby innego umysłu,  
które budziły jak pianie koguta, brzmieniem nieznanej melodii



Z początku gubiłam się  
ten sam świat u każdego inny

W pierwszej poezji mocno prześwitywało moje wnętrze  
ale szybko rosłam, bez wstydu, bo w tym dziwnym teatrze  
debiutów modna była spowiedź powszechna na scenie, ludzi  
do końca niespełnionych - w maskach.  
Tu aktorzy słowami swobodnie pałętają się między poetami,  
bo można się pośmiać i wyć lirycznie - anonimowo, poczuć,  
że po drugiej stronie ekranu  
ktoś to odbiera. Stoisz sobie bez twarzy i możesz mieć do woli  
czasu na scenie, grając w swojej sztuce w swoim teatrze.

Tak często serce mi mówiło  
napisz jakiś wiersz  
chwyć nim za gardło tnij po niewzruszonych  
zapal słowem światła jak wiekowy cud  
jesteś czułym sejsmografem  
bądź poetką  
niech słowa krążą w powietrzu jak śnieg  
i dziś jak gwiazdy niech świecą

nie potrafisz samotna marzycielko  
więc uśmiechnij się  
bo tylko radość jest święta  
napisz wszystkim po prostu  
jestem

Piłam kawę i spisywałam na kartce ten mój ostatni sen, gdy przybiegła moja  
malutka sąsiadeczka, którą lubię jak wnuczkę.  
Co piszesz? - spytała, do szkoły nie chodzisz, a piszesz.  
To list?  
Do kogo ?  
- Ja do gwiazdora napiszę, napisz też - i pobiegła.  
- No właśnie, dlaczego piszę – zamyśliłam się

Dosyć, chyba powiem za Szymborską, bo wzbudzam uśmieszki myląc już  
niektóre drzwi. Śmieją się ze mnie, że piszę spóźnioną puentę do sztuki, która  
właściwie schodzi z afisza. Opadła kurtyna do końca.  
Teatr wstawia teraz współczesną komedię.

radość słowa i jego dźwięki  
to tango  
które w uniesieniu każdy tańczy inaczej  
jeszcze  
jeszcze ...  
tak zostać w tym transie  
swędzą jeszcze podeszwy



## **STEFAN DARDA O PISANIU**

**N**asi czytelnicy niejednokrotnie pytają o zagadnienia związane z odpowiednim budowaniem nastroju w tekstach literackich. Tematem przewodnim obecnego numeru są „Niewyjaśnione zagadki przeszłości”, a jednym z motywów - *pojęcie tajemnicy*. Proszę nam powiedzieć, co jest według Pana najważniejsze podczas budowania nastroju tajemnicy w utworze?

Im dłużej zajmuję się pisaniem, tym bardziej przekonuję się, że trudno o jakiegokolwiek jednoznaczne recepty w tej kwestii. Wszystko zależy od konkretnej historii, od autora, a także od jego pomysłu na dany utwór. Ogromne znaczenie ma gatunek literacki – inaczej sprawa ta będzie wyglądać w kryminale, inaczej w krwawym horrorze, romansie czy w powieści lub opowiadaniu typu ghost story. Każdy z wymienionych przeze mnie rodzajów literatury ma swoje patenty, ale chyba najważniejsza jest umiejętność wczucia się w rolę, wnikięcia w sposób odbioru charakterystyczny dla czytelnika. Jeśli autor coś takiego potrafi, jest szansa, że będzie umiał też w umiejętny, budzący zainteresowanie i przykuwający uwagę sposób odkrywać karty, z każdą kolejną stroną pozbawiać czytelnika dręczących go pytań lub – przeciwnie – sprawiać, że temperatura lektury będzie wyższa.

***Czy istnieją specjalne techniki, dzięki którym możemy wkomponować nastrój tajemnicy w utwór?***

Tak samo, jak (wbrew niektórym autorom poradników) nie istnieją zawsze i wszędzie działające sposoby na napisanie bestsellera, tak i o specjalnych, zabójczo skutecznych technikach budowania napięcia w utworach trudno mówić. Owszem, można wskazać pewną ilość przydatnych rad, niemniej jednak bez ciekawego pomysłu, talentu, umiejętności prowadzenia akcji i pracowitości, nie da się osiągnąć odpowiedniego nastroju. To zupełnie tak, jak z pisaniem melodyjnej, wpadającej w ucho muzyki – na pozór sprawa jest łatwa i przyjemna, ale schody zaczynają się, gdy zasiadamy do niezapisanej pięciolinii. Proszę mi wierzyć – wolałbym w niniejszym wywiadzie odkryć przed autorami lub początkującymi adeptami pióra jakąś wiekopomną tajemnicę, niemniej jednak kilka lat doświadczeń – chociażby w charakterze jurora konkursów literackich – raczej pozbawia mnie złudzeń, że jest to możliwe.

***Jakie są, według Pana, najczęstsze błędy popełniane przez początkujących autorów przy budowaniu odpowiedniego nastroju swojej powieści czy opowiadania?***

Już na samym początku utworu można się skutecznie wyłożyć albo przez zbytnie rozwlekanie treści, albo – przeciwnie – przez jej nadmierne naładowanie wydarzeniami, postaciami, zdarzeniami, zwrotami akcji itp. Każdy z tych błędów skutecznie zniechęca czytelnika do dalszej lektury, więc tak naprawdę właśnie początek jest najważniejszy i przy nim nie można pozwolić sobie na tego typu potknięcia. Z kolei, jeśli we wspomnianej kwestii wszystko jest przyzwoicie, często początkujący autorzy nie potrafią już w pierwszych partiach tekstu zawrzeć



jakiegoś elementu tajemnicy, czegoś, co sprawi, że czytelnik już po przeczytaniu kilku akapitów czy stron, będzie chciał (a nawet musiał) sobie zadać pytanie: „I co dalej?”.

Nastrój można też zabić przesadą w eksponowaniu elementów, które ten właśnie nastrój mają w założeniu autora tworzyć. Przecież nawet najbardziej dramatyczne wydarzenia, jeśli stosowane są w nadmiarze, w końcu się mogą przejeść, a – co gorsza! – wepchnąć utwór w objęcia groteski lub niezamierzonego absurdu. Dobrze, jeśli tekst jest zbudowany naprzemiennie, na wzór sportowego treningu interwałowego, gdzie szybsze ćwiczenia przeplatane są tymi mniej intensywnymi. Czytelnik ma wtedy możliwość odpoczynku, ale jednocześnie nie zapomina o tych mocniejszych akcentach, które już zostały do danego utworu wprowadzone.

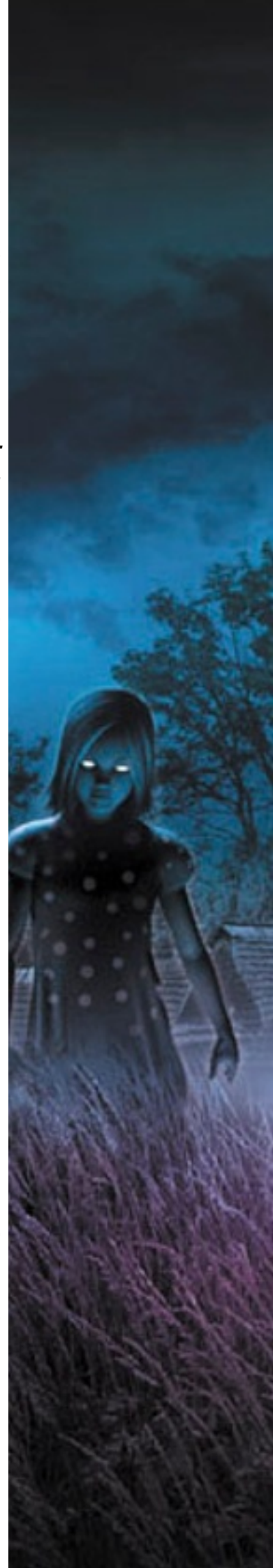
***Jak według Pana powinien postępować pisarz? Unikać oklepanych motywów i próbować stworzyć coś nowego, czy może wręcz odwrotnie - stosować wszystkim znane motywy lecz przedstawiać je w nowym świetle, w ciekawy i nietuzinkowy sposób?***

Najlepiej, jeśli będzie próbował stworzyć coś nowego w ciekawy i nietuzinkowy sposób. To oczywiście łatwo powiedzieć, trudniej wykonać, a wykonać z powodzeniem, to już w ogóle zadanie sięgające wyżyn literackiego sukcesu, niemniej jednak zawsze warto stawiać sobie ambitne cele. Ja na pewno nigdy nie będę namawiał do powielania tych samych schematów czy tworzenia utworów (a może nawet „tworów”) bliźniaczo podobnych do innych i argumentowania tego mającym akurat miejsce rynkowym zapotrzebowaniem. To ślepa uliczka, bo każda moda się kiedyś kończy i gdy się to stanie, autor-kalkomaniak przeważnie musi sobie poszukać innej roboty.

***Wróćmy teraz do spraw bardziej ogólnych. Skąd czerpie Pan pomysły na intrygę horroru, rys postaci, czy wątki fabularne? Czy odzwierciedla Pan w swoich tekstach w jakiś sposób rzeczywistość, w której Pan żyje?***

Na moje książki wpływ ma zarówno przeszłość, jak i teraźniejszość. Swego czasu, jeszcze jako muzyk „Orkiestry świętego Mikołaja”, fascynowałem się kulturą ludową, a w związku z tym wierzeniami, legendami, opowieściami z dreszczykiem przekazywanymi z pokolenia na pokolenie. Prócz tego, jeszcze z czasów studiów i wypraw turystycznych wciąż pozostało mi zamiłowanie do miejsc oddalonych od miejskiego zgiełku. Ta kompilacja odcisnęła piętno na moich dotychczas napisanych powieściach i pewnie wciąż będzie istotna przy pracy nad kolejnymi.

Rzeczywistość, w której rozgrywa się fabuła, staram się oddawać bardzo dokładnie. Zdarza mi się przejechać mnóstwo kilometrów, żeby zobaczyć jakieś konkretne miejsce, o które zahacza akcja. Podczas takich wypraw, rzecz jasna, spotykam też ludzi, obserwuję ich zachowania, staram się przynajmniej po części poznać świat, w jakim żyją, jednak raczej nie przenoszę konkretnych osób na karty powieści. Moje postaci powstają „instynktownie”, lubię proces ich kreacji, wymyślanie sposobu zachowania, mówienia, charakterystycznych cech. Podobnie jest z opisywanymi zdarzeniami – często wymyślam je w trakcie pisania i chociaż mniej więcej wiem, do jakiego finału zdążam, przeważnie nie mam jeszcze pojęcia, jakimi ścieżkami do niego dojdę. Czuję się bardziej pierwszym czytelnikiem, niż autorem, dzięki czemu pisanie wciąż jest dla mnie źródłem niezwykłych zaskoczeń.



## **POGRANICZA**

***Co jest najtrudniejsze w straszeniu współczesnego czytelnika, który niejedno wszak już widział?***

Wydaje mi się, że mechanizmy wywoływania dreszczyku emocji są podobne jak sto czy dwieście lat temu. Jeśli dana historia porwie kogoś bez reszty, to nie ma znaczenia to, co było wcześniej. Liczy się tu i teraz. Jeśli autor potrafi przenieść czytelnika w swój świat, zainteresować losem bohaterów, wzbudzić jakieś uczucia, to epoka nie jest ważna.

Jedną z przyczyn, dla których w roku dwa tysiące szóstym spróbowałem pisanie, było wspomnienie z początku lat dziewięćdziesiątych, gdy w zatłoczonym autobusie, w biały dzień czytałem „Lśnienie” Kinga. Byłem już wtedy dorosły, zdawałem sobie sprawę z okoliczności, w których się znajduję, a jednak pojawiły się ciarki na moich plecach. Uznałem to za przejaw niezwyklej umiejętności i chyba trochę pozazdrościłem autorowi. Wtedy jeszcze nie myślałem o tym, że mógłbym napisać książkę, ale tamto niepokojące czytelnicze wrażenie było we mnie wciąż żywe, gdy zaczynałem pracę nad „Domem na wyrębach” sześć lat temu.

***Czy uważa Pan, że literatura grozy oraz powieści nasączone tajemnicami i zagadkami do rozwikłania święcą triumfy?***

Oczywiście. Wystarczy spojrzeć na listę najpoczytniejszych obecnie autorów na świecie (Patterson, King, Rowling, Martin), by nie mieć co do tego żadnych wątpliwości.

***Jaki jest Pana pogląd na opinię, że człowiek lubi się bać?***

Strach jest jedną z emocji zupełnie dla człowieka naturalnych, a równowaga emocjonalna sprzyja zdrowiu psychicznemu, więc nic w tym dziwnego, że są osoby, które lubią wywoływać to uczucie w sposób sztuczny. Literacka groza zapewnia nieco wrażeń, czasem wywołuje gęsią skórę, ale czytelnik wciąż ma świadomość, że kiedy odłoży książkę, wszystko wróci do normy. Pozostaje mieć nadzieję, że strach prawdziwy, związany z realnym zagrożeniem, będzie ludziom towarzyszył w możliwie najmniejszym stopniu.

***Czy chciałby Pan może kogoś pozdrowić?***

Pozdrawiam serdecznie czytelników książek. Niezależnie od tego, w jakiej literaturze gustują.

***Bardzo dziękuję za poświęcony czas.***

Również bardzo dziękuję.



# Poruszająca literatura grozy w polskim wydaniu

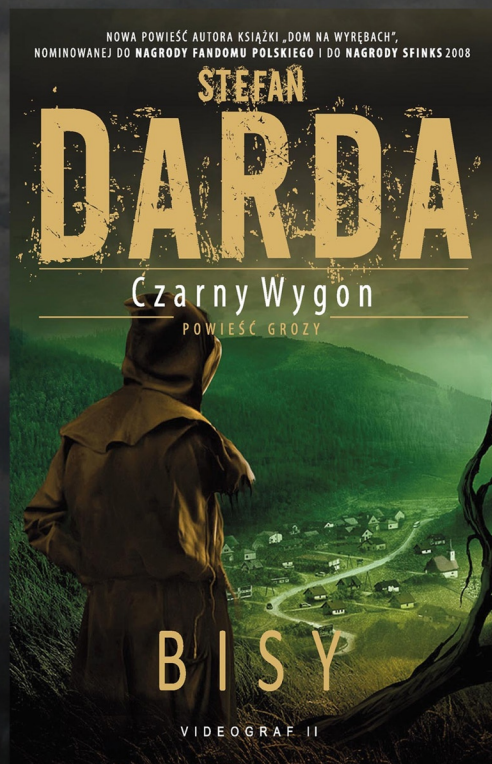
Ostatnia część cyklu powieściowego

Stefana Darda

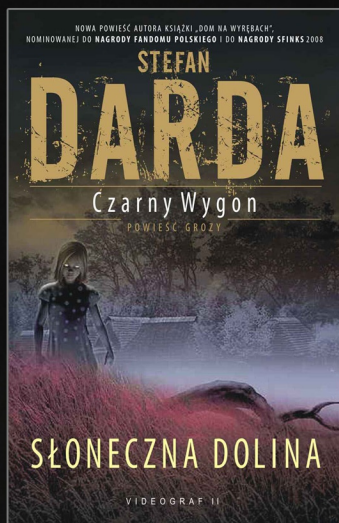
CZARNY WYGON

BISY

już w księgarniach



Wcześniejsze losy bohaterów „Czarnego Wygonu” znajdziesz w książkach:



Witold Uchmann, doświadczony dziennikarz po pięćdziesiątce, od jakiegoś czasu zajmuje się w ogólnopolskim czasopiśmie opisywaniem zjawisk paranormalnych. Pewnego dnia, po awanturze z szefem postanawia złożyć wypowiedzenie.

W ostatniej chwili jego decyzję zmienia e-mail otrzymany na redakcyjny adres. Młody mężczyzna informuje Uchmanna, że na Roztoczu, niedaleko Zwierzyńca, jest przeklęte miejsce, o którego istnieniu nie wie nikt poza tajemniczym nadawcą wiadomości. Dziennikarz, pomimo ostrzeżenia przekazanego przez przyjaciela, decyduje się na spotkanie z informatorem. Dociera do wioski, która już od pierwszych chwil sprawia dziwne wrażenie. Spotkania z kolejnymi osobami i otrzymany od tajemniczego mężczyzny zeszyt przekonują go, że warto bliżej przyjrzeć się sprawie.

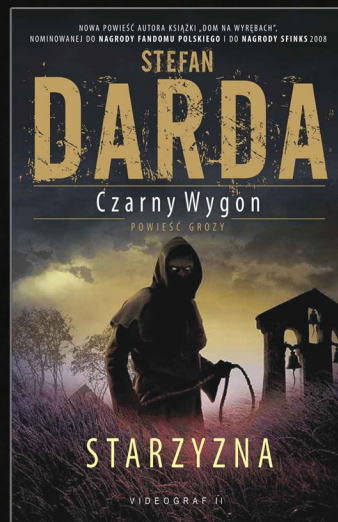
Czy wszystko okaże się wyłącznie rojeniami chorego umysłu młodego człowieka, czy może w historii opisaney w brulionie jest część prawdy i rzeczywistość skryta pod sielsko brzmiącą nazwą "Słoneczna Dolina" okaże się naprawdę przerażająca? Znalezienie odpowiedzi na to pytanie nie będzie proste, jednak Uchmann podejmuje się tego zadania. W pewnym momencie uświadamia sobie, że wiele by dał za to, aby jego nowy znajomy był po prostu wariatem...

Powieść nominowana do Nagrody im. Janusza A. Zajdla za rok 2010  
3. miejsce w plebiscycie czytelników literatury fantastycznej „Nautilus” za rok 2010

Prawdziwy test dla Witolda Uchmanna jest dopiero przed nim. Czy odważy się stanąć oko w oko z przerażającym księdzem, który krąży w okolicach Starzyzny, czy też może wybierze swoje bezpieczeństwo? Czy dla ratowania życia kilkuletniej dziewczynki, nie bacząc na zagrożenie wiecznym potępieniem będzie potrafił rzucić na szalę własną egzystencję? Jaką rolę w tej całej historii odegra przyjaciel Witolda – Adam Nawrot; może to właśnie jemu będzie groziło największe niebezpieczeństwo, gdy pojawi się nocą na drodze wiodącej z „naszego świata” do przeklętej Słonecznej Doliny?

Nietuzinkowy sposób prowadzenia narracji, który docenili zarówno czytelnicy, jak i recenzenci Słonecznej Doliny, w Starzyźnie wzbogacony został o nowe elementy. Druga część Czarnego Wygonu balansuje na granicy jawy i snu, życia i śmierci, nadziei i rozpaczy. W zapomnianej roztoczańskiej wiosce, dzwony znów przerwały nocną ciszę, donośnym głosem potwierdzając, że od poprzedniego razu wszystko pozostaje bez zmian. Czy tak będzie już zawsze, czy też może istnieje cień szansy na ratunek dla naznaczonych klątwą mieszkańców Starzyzny...?

Powieść nominowana do Nagrody im. Janusza A. Zajdla za rok 2010







**ALEKSANDRA ANDRUKOWICZ**

## **WOJNA W TWOIM CIELE**

**S**pekulacje na temat kolejnej globalnej wojny nie są nam obce. Michael Grant też spekuluje. W Europie i USA toczy się zacięta walka. Jednak nie taka, jakiej prawdopodobnie byś się spodziewał. Serce konfliktu jest w świecie nano, w świecie tzw. „bebechów” i wnętrzości człowieka. Może nawet Twoich.

Wojna toczy się między dwoma potężnymi organizacjami. Jedną z nich jest AFGC, prowadzone przez Armstrongów - bliźniaków syjamskich, których celem jest wniknięcie do mózgów przywódców największych mocarstw świata, i zmuszenie do wykonywania ich rozkazów. Chcą, żeby ludzie stworzyli jednolity organizm, niezdolny do odczuwania bólu czy cierpienia.

Z drugiej strony mamy BZRK, operujące tą samą techniką. Członkowie tego stowarzyszenia dążą do zapobiegnięcia działaniom bliźniaków, ponieważ uważają, że człowiek ma prawo do odczuwania każdego uczuć, gdyż na tym polega wolność.

Obydwie strony konfliktu używają do osiągnięcia swych celów najnowszych cudów techniki - nanobiotów. To małe stworzenia, zbudowane z DNA człowieka. Są niezwykle związane ze swoim dowódcą, czyli tikerem, który może sterować nimi za pomocą myśli. Tikerzy, to oni są głównymi żołnierzami w tej bitwie. W większości przypadków zdecydowanie się na sterowanie nanobiotami pozostawia wybór: szaleństwo albo śmierć.

Pierwszego skutku walk na poziomie nano doświadczył pośrednio Noah, którego brat był członkiem BZRK. Chłopak odwiedził go w szpitalu psychiatrycznym, gdzie nie był w stanie znaleźć choćby nici porozumienia z chorym bratem.

Wojna boleśnie doświadczyła

też Sadie. Jej ojciec i brat zostali zamordowani. Ktoś przejął kontrolę nad mózgiem pilotki i spowodował, że straciła panowanie nad samolotem, którym męczyzna leciał z synem do Singapuru. Sadie McLuer, córka wynalazcy nanobiotów i dziedziczka wielkiej fortuny została całkiem sama.

Grey McLuer pracując nad nanobiotami, nie zdawał sobie sprawy jak wiele konsekwencji pociągnie to za sobą. Chciał, by te niewielkie stworzenia uratowały przeżarte rakiem wnętrzości jego żony. Nie wiedział, że przyczyni się do wybuchu globalnej wojny, której skutki mogą okazać się groźniejsze niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Dwójka nastolatków zostaje wybrana do roli tikerów. Obydwójce stracili kogoś podczas działań wojennych. Odtąd Noah i Sadie mają współpracować i razem postanawiają nie dopuścić do tryumfu bliźniaków. Nie ma czasu na trening, zostają od razu wrzuceni na głęboką wodę.

Akcja jest wartka, ciekawa, nie sposób się nudzić. Autor nie stara się omijać brutalnych scen, więc książkę daleko do przykładowej, młodzieżowej literatury. Wydarzenia rozgrywają się w zawrotnym tempie, czasem wręcz zbyt szybkim. Cała powieść rozpoczyna się mocnym wejściem - odwiedzinami w psychiatryku. To dobry sposób na zachęcenie czytelnika do przewracania kolejnych stron. Mimo że część wydarzeń w powieści jest dosyć nierealna, bądź naciągana jak w amerykańskich filmach sensacyjnych, sama idea nanowojny jest tak ciekawa i zajmująca, że przymykamy na to oko.

Zaskakującym i jednym z ciekawszych elementów są opisy ludzkiego ciała, widzianego na poziomie nano. To niezwykle jak bardzo, znany przez każdego obraz nas samych, róż-



ni się od rzeczywistości zaprezentowanej przez autora. Ciało człowieka zostało porównane do lasu deszczowego, do odrębnego ekosystemu, który jest miejscem rozwoju dla setek organizmów. Według mnie fragmenty, w których bioty wędrowały po skórze, mózgu czy oczach, były jednymi z najbardziej zajmujących elementów książki.

Bohaterowie są wielopoziomowymi postaciami, nikt nie jest zupełnie czarny ani krystalicznie biały. W miarę czytania moje uczucia względem poszczególnych bohaterów zmieniały się jak w kalejdoskopie. Niemniej jednak największą sympatię czułam do Vincenta. Był rozsądnym, opanowanym i w gruncie rzeczy dobrym człowiekiem. Oczywiście, popełniał błędy, ale kto ich nie popełnia? Mimo tego, że zdecydowanie nie był pozytywną postacią, a już na pewno nie w odniesieniu do swoich sprzymierzeńców, to czułam do niego niesamowitą sympatię. Współczułam mu.

Jedynym większym minusem powieści są często wtrącane pościgi czy strzelaniny. Być może jest to prawdopodobne w obliczu takiej wojny, ale

odebrałam je jako strasznie amerykańskie, w negatywnym tego słowa znaczeniu. Z drugiej strony książka jest thrillerem, więc chyba nie obejdzie się bez krwi i przemocy, nawet opisanej w taki, a nie inny sposób.

Powieść nakłoniła mnie do refleksji nad współczesnym światem. Problemem jest to, że wszyscy chcą się na siłę uszczęśliwiać i być uszczęśliwianymi. Stąd taka popularność reklam, pełnych kolorów i szczerzących się ludzi, stąd leje się zewsząd morze alkoholu, właśnie dlatego ludzie biorą narkotyki. Szczęście powinno być wartością wyższą, stojącą na równi z rodziną czy miłością. Cierpienie nie jest już potrzebne, żeby bardziej docenić szczęście, więc po co nam ono? Czy ludzie naprawdę walczyliby o wolność do cierpienia? Czy odczuwanie bólu stałoby się przywilejem? A może lepiej zrezygnować z wolności na rzecz życia wolnego od bólu? Autor uświadomił mi czym tak naprawdę jest wolna wola, wolność w szerszym znaczeniu. To możliwość wyrażania własnych emocji, bez względu na to, jakie one są. I myślę, że za nic w świecie nie chciałabym tego stracić.



MICHAŁ OLEJARSKI

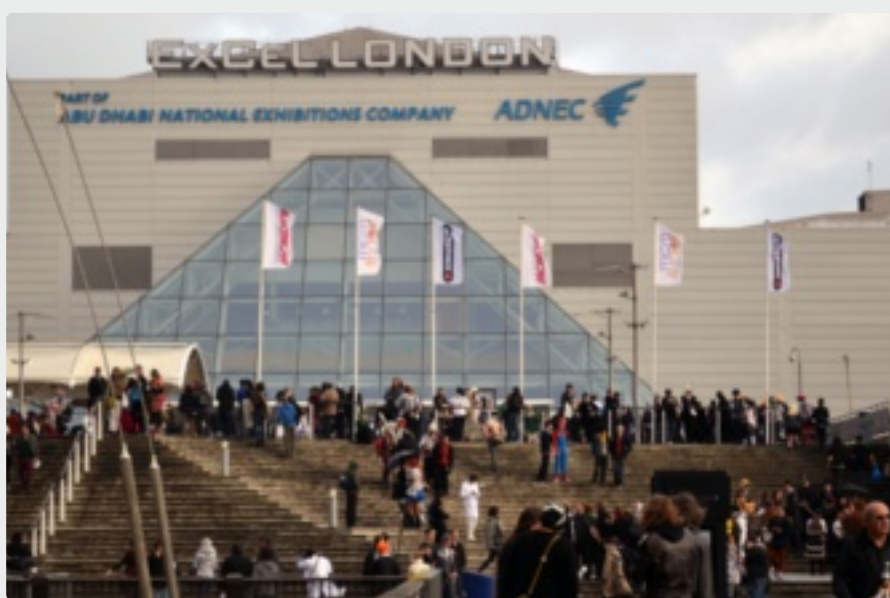
## ZŁOT DZIWAKÓW, CZYLI MCM EXPO W LONDYNIE

**P**orannek nie należał do najmiłszych. Nagły chłód, wietrzny dzień i nieustająca mżawka, które zawitały do Londynu tamtego pamiętnego dnia, potrafią zwykle pożyć nawet najbardziej pozytywne nastawienie. Zwlekając zwłoki z ciepłego posłania zachodziłem w głowę, czy warto wybierać się na to wydarzenie, jednak lenistwu nie udało się

całkowicie przysłonić planowanego wypadu na MCM Expo. Pomimo, że całość miała się odbyć po niemalże drugiej stronie brytyjskiej stolicy, to jednak już w metrze i autobusach zauważyłem grupki różnorako przystrojonych ludzi w każdym wieku. Czasem dziwiło, niekiedy śmieszyło, szczególnie widząc nieporadną kopię postaci z Dragon Balla, czy innej „chińskiej bajki”

(jak zwykli mawiać użytkownicy Sado-la), ale każdy metr przybliżający do miejsca przeznaczenia, napawał mnie rosnącym entuzjazmem.

Już na wstępie przywitali mnie koman-



dosi żywcem wzięci z Half-Life i trochę chaotycznie zgromadzona Imperialna Gwardia (Warhammer 40k), która pod wodzą nieokrzesanego dowódcy szczerzyła się do wszystkich zdjęć. Jednak po przekroczeniu progu budowli, wszedłem do innego, tajemniczego, zakrytego dotąd przede mną świata. Mieszmasz kolorów, strojów i stylów. Zaczynając od X-menów w róż-

nych odmianach, postaci z dobrze znanych gier i filmów, po nieznane mi istoty podobne do tych z produkcji Capcom'u oraz sławetnych Japońskich horrorów





pokroju Ring. Najbardziej zwracała uwagę pieczołowitość, z jaką zwykli ludzie starali się odtwarzać przebrania bohaterów, niekiedy smarując całe ciała barwnikami i zakładając ciężkie, drobiazgowo przygotowane kostiumy.

Dodatkową atrakcją była akcja „FreeHugs”. Nie wiem, jaki zwichrowany umysł ją rozpoczął, ale nie brakowało jej zwolenników. Kim bym nie był, okaza-

zi do darmowego przytulania nie brakowało, niezależnie czy ofiarą padała skośnooka amatorka strojów japońskich lolitek, czy osobnik o typowym wizerunku



entuzjasty fantastyki i UFO pośród reszty społeczeństwa.

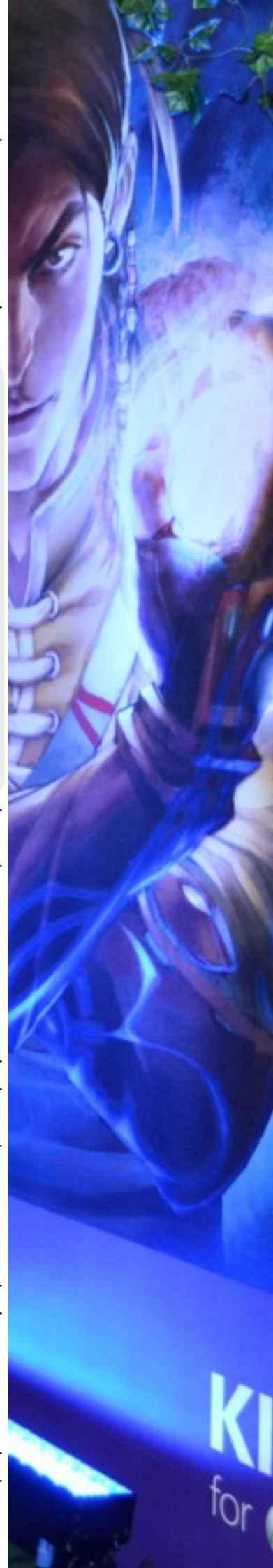
Zdradzę wam jedną rzecz – nigdy, ale to przenigdy nie idźcie na takie wydarzenia bez kupionego elektronicznie biletu, chyba, że nie macie co porabiać przez około dwie bite godziny. Co prawda stojąc na początku dłuuugiej kolejki można się uśmiechać i radować, widząc coraz to ciekawsze prze-

brania, ale będąc gdzieś w połowie kilkusetosobowej, zakręconej kolejki, niecierpliwość bierze górę. Wtedy nawet groźby ze strony szturmowców (Star Wars) nie są w stanie poprawić humoru i jak na zbawienie czeka się na moment dojścia do kasy.

Na szczęście przejście przez bramkę z niezwykle kunsztowną papierową opaską na dłoni pozwala zapomnieć o

straconym czasie i wpada się w prawdziwy wir wydarzeń. Ciężko zliczyć atrakcje, które miały miejsce na tegorocznym Expo. Z tego, co udało mi się dowiedzieć, uczestników było dwa razy więcej niż w ubiegłym roku... zatem już się szykuję na następny, o ile moja urodzinowa impreza nie spowoduje końca świata.

Pierwszym punktem programu był europejski konkurs na najlepszy kostium, gdzie prym wiodły stroje z Gwiezdných Wojen. Oczywiście postacie tej space operowej sagi dominowały także pośród przebrań samych organi-





## POGRANICZA

zatorów – para klonów rozmawiających przez radio, tudzież Imperator i kroczący tuż za nim Darth Vader, robili piorunujące wrażenie. Pomimo świadomości, że to tylko przebrani pracownicy, pewien niepokój pozostał. Czyżby to ukryte lęki z dzieciństwa?

Oczywiście, jak na zjazd fantastów przystało, nie zabrakło licznych kaci-

istniejących produkcji, jak również kilka beta-wersji, które na rynku mają się dopiero pojawić. W tym przypadku znamienne dominowały gry gatunku SF, szczególnie o zabarwieniu Star Treka i Gwiezdných Wojen. Bardzo ciekawie wyglądała gra oparta na świecie wykreowanym przez Terry'ego Pratchett'a, o jakże odkrywczej nazwie

– Di-  
scworld  
(Świat  
Dysku),  
natomiast  
zabrakło  
mi strategii  
w stylu  
produkcji  
planszo-  
wych,  
opartych o  
sagę Pie-  
śni Lodu i  
Ognia, czy  
innych,

ków tematycznych i paneli dyskusyjnych. W tym roku prawdziwy tłum przyciągnęły spotkania z aktorami, grającymi role w popularnych serialach telewizyjnych, jak np. Continuum czy Once Upon a Time. Przy okazji ich występów niektórzy mogli zadawać pytania i nie obyło się bez pokazówek tego, co czeka nas w kolejnych sezonach.

Troszkę rozczarował mnie kącik gier planszowych, szczególnie, że ta forma rozrywki na Wyspach nie została zapomniana w tak mocnym stopniu, jak w Polsce. Stołów było zaledwie kilkanaście, a porozkładano na nich nowe edycje już

może nieco droższych, ale i bardziej rozbudowanych tytułów.

Trzeba natomiast przyznać, że gracze komputerowi i konsolowi mieli wiele okazji do przetestowania swoich umiejętności. Nawet nowy X-Com znalazł dla siebie lukę. Mimo, że gra wydaje się stosunkowo średnia, to może dawać nam nadzieję na odrodzenie strategii turowych, bowiem stoisko było bezustannie oblegane, a potyczki mię-





dzy dwoma graczami (gdzie jeden sterował ludźmi, a drugi obcymi) były głośno komentowane i wzbudzały wielki entuzjazm kibiców.

Inną interesującą produkcją był nowy Fable, który całkowicie korzysta z technologii rozpoznawania gestów, zatem grę można sterować dłońmi i własnym ciałem. Brzmi przeciętnie, ale to na-

prawdę coś ciekawego! Było również sporo innych gier na wszelkie platformy, z czego te bardziej kasowe, jak Tomb Raider czy Bordelands 2, były zamknięte w czterech

ścianach, a panowie przy wejściach nie chcieli mnie wpuścić z aparatem w rękę.

Po dłuższej wędrówce udało mi się nawet natknąć na stanowiska retro! Widok kilkunastokilogramowego kłoca, zwanego telewizorem kineskopowym i podłączoną do niego konsolką NESa, był czymś niesamowitym. Z nie mniejszą radością patrzyłem, jak dwóch mężczyzn, jeden dobrze po trzydziest-

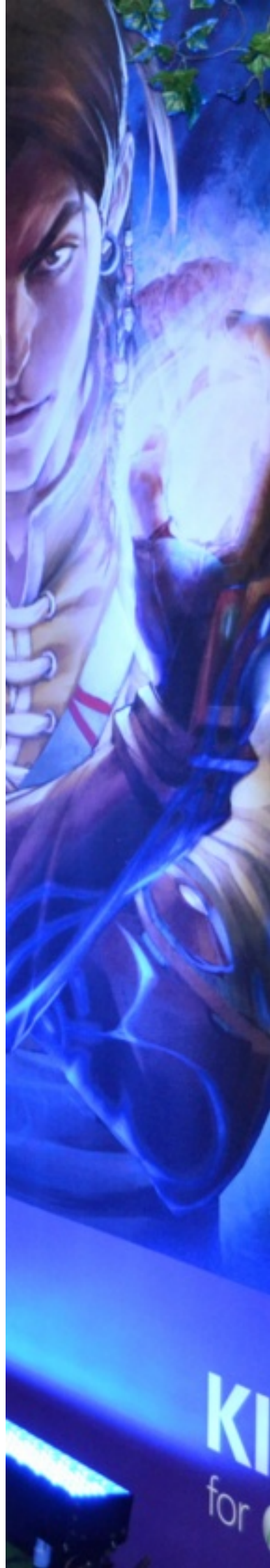
ce, a drugi z posiwiałą czupryną (za pewne ojciec), wcielało się w dwóch komandosów, którzy eliminowali przeciwników, idąc ciągle w kierunku góry ekranu. Magia!

Oczywiście MCM Expo nie mogłoby istnieć bez komiksów i praktycznie jedną trzecią całej hali zajmowały rozmaite stanowiska dotyczące się tej tematyki.



Nie tylko można było zakupić najróżniejsze produkcje (z przewagą typowej mangi), ale również porozmawiać z rysownikami, zachwalającymi swoje historie. Niektórzy z nich przez cały czas rysowali wielko- i małopowierzchniowe ilustracje, które następnie można było zakupić. Trzeba przyznać, talentu to im żadna siła wyższa nie poskąpiła i nie raz, nie dwa zatrzymywałem się, by zawiesić oko na naprawdę dobrych rękodzielach.

Gdybym miał odrobinę chęci i samozaparcia, mógłbym sam poćwiczyć rysunek, bowiem nieopodal stoisk autorskich znajdowała się szkółka rysowania mangi. Niskie





## POGRANICZA

stoliki i specjalnie przygotowane elementy dekoracji wprawiały w bardzo przyjemny klimat, a czujna nauczycielka spieszyła z pomocą strapionym uczniom. Ciekawy widok stanowił dorosły mężczyzna, klęczący przy jednym ze stolików, podczas gdy wszystkie inne były zajęte przez dzieci. Równie olbrzymią powierzchnię, co komiksy, zajmowały wszelkiego rodzaju systemy kolekcjonerskich gier karcianych, chociaż na mój gust bezsprzecz-

mochód, obdarzony sztuczną inteligencją i niewątpliwą chęcią łapania bandziorów? Staruszek-emeryt, już może nie taki żwawy, nawet oczka nie puścił, kiedy przed nim stanąłem, ale dalej robił wrażenie. Nie mam pojęcia, czy to ten sam wóz (mimo, że ulotka na masce tak twierdziła), czy po prostu zręczna atrapa, ale chylę przed organizatorami czoła.

Kiedy zgłodniałem, poruszając się po labiryncie stoisk i w gąszczu stworzeń

nie z tego świata, natrafiłem (a jakże!) na dania z krajiny kwitnącej wiśni. Apetyt wzbudzały oryginalne lody, robione na oczach klientów (kruszony



nie dominował Yu-gi-oh!, którego startery i karty można było kupować ze specjalnego stanowiska. Kilka rzędów stołów, wypełnionych potyczkującymi się ludźmi obojga płci i wszelakiego wieku, robiło niezwykle wrażenie, nawet jeżeli nie rozumiem, co jest takiego pociągającego w tych systemach.

Było też wiele drobniejszych elementów, które naprawdę działały magicznie lub przypominały dzieciństwo. Czy ktoś z Waspamięta „Nieustraszonego”? Wspaniały, inteligentny, opancerzony i uzbrojony czarny sa-

łód polewany sosem), jak również krewetki, tudzież „mielone” z dyni. Pachniało i wyglądało na tyle dobrze, że nie mogłem sobie odmówić. Co prawda pałeczkami nie bawiłem się już dobrych kilka lat, ale ssanie w żołądku zrobiło swoje, bo bez trudu i z niewątpliwym smakiem zjadłem zakupioną potrawę, która była naprawdę smacz-





na.

Nieco w kącie usadowiono bardziej „rynkową” część MCM Expo. Mianowicie, można było zobaczyć, tudzież zakupić, wytwory różnych rzemieślników. Poczynając od ozdóbek, po wyrafinowane wytwory kowalskiego talentu, przeniesione z wirtualnej rzeczywistości do naszego świata. Co prawda, część przedmiotów była wykonana z drewna, ale co droższe sztuki wykonano z kutego żelaza, pięknie ozdobiono,

przebierańców, która zachowywała się tak, jak gdybym naprawdę przeniósł się do równoległej rzeczywistości, gdzie prym wiodą maszyny logiczne i parosterowce. Pomimo dość nielicznej reprezentacji miałem wrażenie, że właśnie ta grupa maniaków jest najbardziej autentyczna, a cały gatunek nie jest dla nich tylko i wyłącznie odskocznią, w czym również utwierdziły mnie krótkie rozmowy z nimi.

Na koniec, tuż przed wyjściem, nie

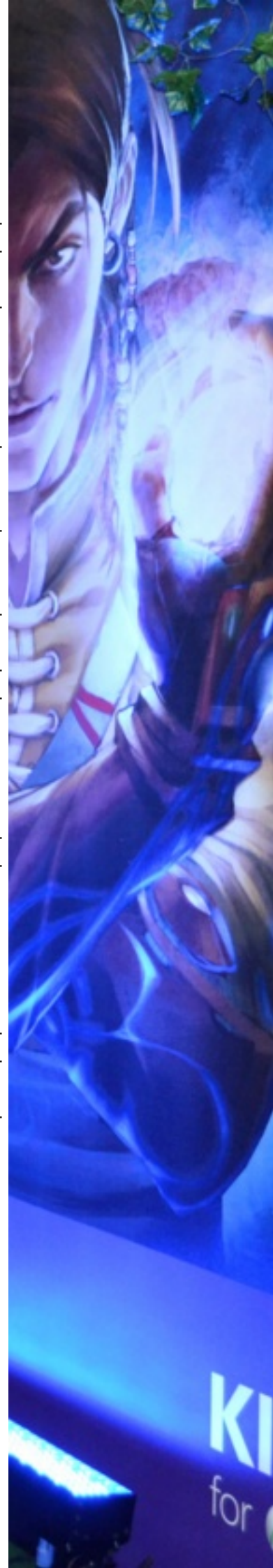
omieszkalem prześłuchać kilku dem z japońskiego muzycznego undergroundu i podzielić się kilkoma uściskami, uciekając następnie przed grupą



aż wręcz wołały „kup mnie!”. Nie brakowało również różnego rodzaju ubrań, nakryć głowy, drobnej biżuterii, dodatków i nawet kompletnych kimon! Oczywiście największe tłumy były przy stoiskach z gadżetami i akcesoriami, które nie raz i nie dwa możemy zobaczyć w Anime i Mangach. Nie wiem, jak w krajach Dalekiego Wschodu, ale tutaj pop-kultura japońska naprawdę miała wzięcie.

Prawdziwą perełką, chociaż nieco schowaną, były stanowiska nawiązujące do Steampunku. Pomiędzy stoiskami z charakterystycznymi rękodzielami na każdy portfel, były czaszki z goglami, kołkownice, pistolety na parę (!), zestaw do polowania na wampiry, eksperymentalny plecak odrzutowy i mnóstwo szkiców ciekawych projektów. Całości dopełniała rozradowana parada

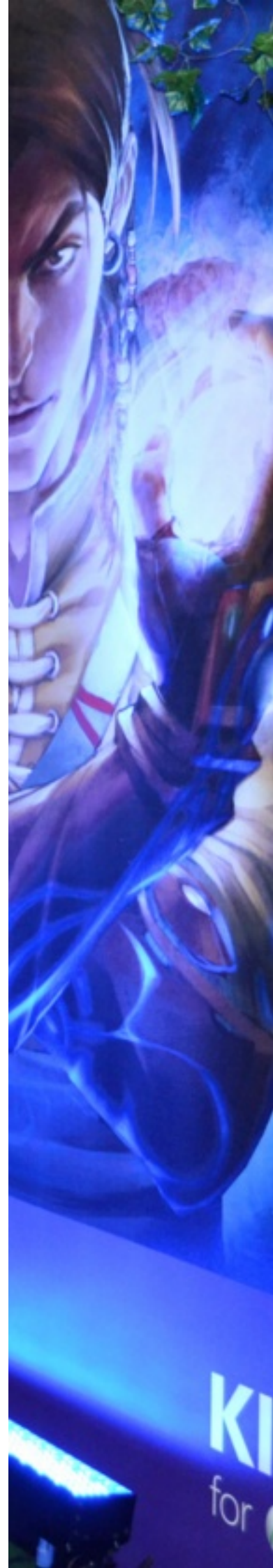
szurmowców wprost w objęcia Imperialnej Gwardii, która wciąż prowadziła musztrę przed wejściem do budowli. Przywitały mnie ostry wiatr i mżawka, która powoli przeradzała się w ulewę. Od razu zapragnąłem wrócić do środka, do magicznego świata fanów i fanatyków, przebierańców i wariatów, ludzi sobie odmiennych, a zarazem dla siebie życzliwych. Po prostu bomba... tylko szkoda, że bomby tak szybko wybuchają.













JAROSŁAW TUROWSKI

## GROZA - DWIE RECENZJE

**Z**ima zawsze wydawała mi się porą najbardziej odpowiednią ku temu, by czytać powieści grozy. Za oknem szybko zapada zmrok, panuje spokój i daje się słyszeć tylko złowieszcze zawrodoenie wiatru –

przynajmniej ja to tak widzę. Horrory czytane w takiej otocze oddziałują na nas o wiele mocniej niż latem, gdy słońce zagląda do pokoju, a na zewnątrz śpiewają wesoło ptaki. Zimą lepiej odczuwamy klimat grozy zawarty w książkach... Właśnie dlatego chciałem przedstawić wam powieści,

k które z ręką na sercu mogę nazwać dwoma najlepszymi horrorami, z jakimi miałem do czynienia w ciągu ostatnich lat. Czytam dość dużo, jednak te pozycje zrobiły na mnie największe wrażenie. Przerażają czytelnika zupełnie odmiennymi rodzajami grozy. Można pokusić się o stwierdzenie, że stoją na dwóch przeciwstawnych, literackich biegunach, lecz łączy je najważniejsze – obie te książki są naprawdę wyśmienite!

*Jack Ketchum*

## DZIEWCZYNA Z SĄSIEDZTWA

Dziewczyna z sąsiedztwa uchodzi za jeden z najmocniejszych, książkowych horrorów wszechczasów. Kiedy wydano ją po raz pierwszy w roku 1989, cały nakład rozszedł się w mgnieniu oka. W związku z kontrowersyjnymi treściami, czytelnicy musieli czekać aż do roku 1997, by doczekać

się wznowienia sprzedaży. Na półki polskich księgarń przekład trafił dopiero w dwadzieścia lat po pierwszym wydaniu amerykańskim – w roku 2009. Minęło sporo czasu, lecz wreszcie się doczekaliśmy i możemy sami ocenić,



czy powieść Ketchuma jest rzeczywiście tak drastyczna jak twierdzą jej recenzenci?

"Wydaje ci się, że wiesz co to ból?"

Tymi oto słowami autor rozpoczyna swoje popisowe dzieło, za oceanem uznawane już za kultowe. Jack Ketchum przy pisaniu tej książki inspirował się autentycznymi wydarzeniami – i to jest chyba w tym wszystkim najstraszniejsze. Opisana historia zaskakuje realizmem. Nie jest tylko zasługą przystępnego stylu, jakim została opowiedziana, lecz przede wszystkim tego, że ten przerażający scenariusz napisało samo życie. Zdarzenia, którymi zainspirował się Ketchum, wstrząsnęły Ameryką swym bestialskim okrucieństwem w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku.

Tytułowa Dziewczyna z sąsiedztwa to czternastoletnia Meg, która wprowadza się do domu Ruth Chan-



dler. Nastolatka straciła w wypadku rodziców, a jej młodsza siostra, Susan, została kaleką. Meg dostała od życia solidnego kopniaka, ale nie poddaje się – żyje dalej i opiekuje się chorowitą siostrą. Autor kreuje jej postać w nieco wyidealizowany, lecz niezwykle sugestywny sposób. Bohaterka jest osobą, której nie sposób nie lubić. Zżywamy się z nią, przeżywamy jej radości i ból (nietrudno się domyślić, że to drugie odczucie dominuje przez większość książki).

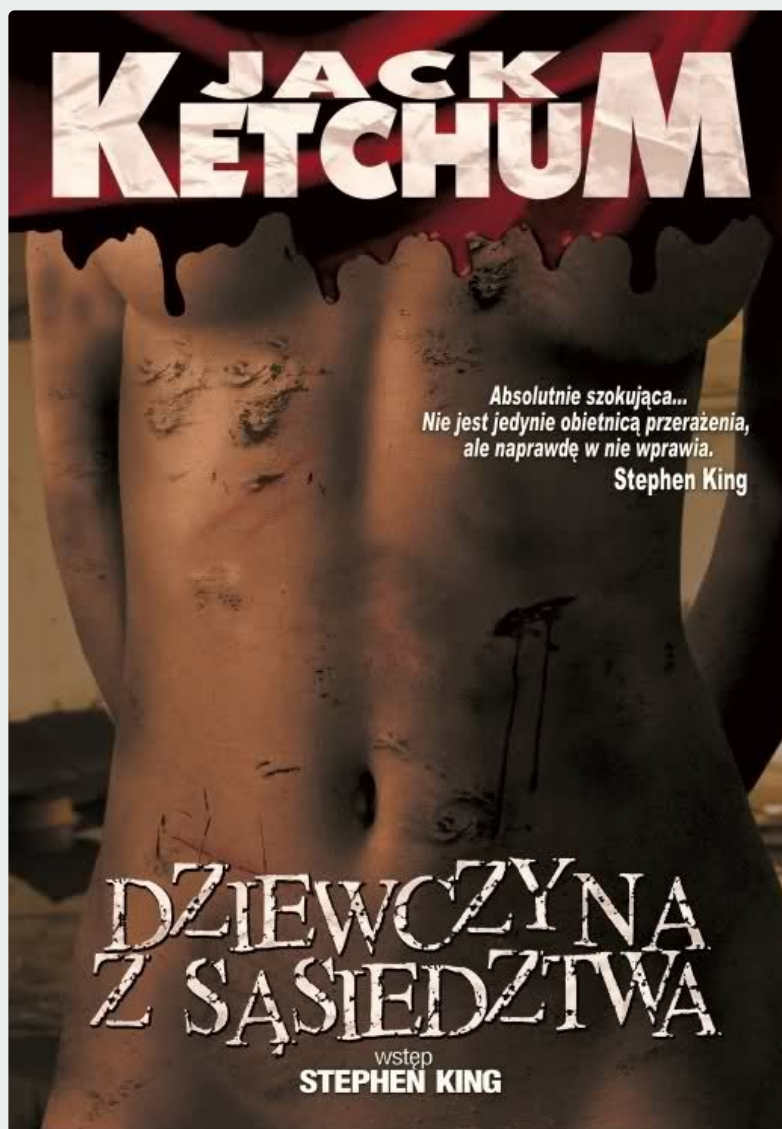
Jest to celowy i podstępny zabieg. Im większą sympatią obdarzyliśmy Meg, tym bardziej przeżywamy piekło, jakie później przeżywa. Wśród opinii internautów na temat tej powieści znalazłem następujące zdanie: "po przeczytaniu człowiek może popaść w depresję". Absolutna racja, a kto nie wierzy, niech spróbuje.


Już od początkowych stron autor wysyła nam sygnały, że w małym świecie, w którym żyją bohaterowie, nie wszystko jest OK. Kiedy poznajemy Eddiego, chłopak przechadza się po ulicy ze zdechłym wężem w zębach. Od razu przeczuwamy, że to mały psychopata. Woofera, najmłodszego z paczki, Ketchum przedstawia jako brzdąca-sadystę, lubującego się w zabawach z mrówkami.

I wreszcie Ruth, czyli matka chłopców – zło wcielone. Jest kobietą chorą psychicznie, nadużywającą alko-

holu i pozwalającą swoim dzieciakom dosłownie na wszystko. Jej motto brzmi "to zostanie między nami, chłopcy". I tak się dzieje, wszystko zostaje między nimi, bowiem Ruth od dawna sprytnie manipuluje dzieciakami z sąsiedztwa – daje im na przykład alkohol i zapewnia, że nie powie o tym ich rodzicom.

Czytając *Dziewczynę z sąsiedztwa* człowieka nachodzą dziesiątki pytań. Ruth torturuje Meg, a w "Grze" towarzyszą jej najpierw tylko synowie, a później wszystkie dzieciaki z okolicy! Zastanawiamy się – jak do czegoś takiego mogło dojść? Przecież książka oparta jest na faktach! Odpowiedzią może być motto Ruth ("to zostanie między nami, chłopcy") i fakt, że dzieciaki traktowały psychicznie chorą kobietę jako swego rodzaju wyrocznię – ona jest dorosła, więc przecież wie, co





jest dobre, a co złe. Skoro na coś pozwala, to nie może być złe – pewnie tak mniej więcej myśleli opisani nastolatki.

Narratorem całej opowieści jest David – sąsiad Ruth, kumpel jej synów, a później także przyjaciel Meg. Podczas lektury wzbiera w nas oburzenie i pogarda do jego osoby. Od samego początku jest podejrzliwie nastawiony do "Gry". W pewnym momencie przeczuwa, że więzienie i zadawanie bólu Meg jest złe. Jednak nic nie robi, pozostaje obojętny. Z każdą kolejną stroną kręcimy się coraz niespokojniej na krześle i myślimy – "pomóż jej wreszcie!". David zaś przygląda się coraz wymyślniejszym torturom zadawanym Meg przez dzieciaki z sąsiedztwa i Ruth, jakby oglądał film w kinie.

Pozycja ukazuje w drastyczny sposób zło tkwiące w drugim człowieku. Można rzecz, że Ketchum wylewa na czytelnika całe szambo, jakie może zalegnąć w ludzkiej duszy. Zadaje nam bardzo ważne pytanie: do czego jest zdolny człowiek, kiedy dostaje przyzwolenie, by robić, co mu się żywnie podoba? I to chyba umiejętnie zmuszanie czytelnika do refleksji jest głównym atrybutem powieści. Sam autor przyznaje, że nie sceny przemocy są najważniejsze (w pewnym miejscu zamiast opisać kolejną torturę, pisze po prostu, że nie może, bo było to zbyt straszne), ale ukazanie pobudek ludzkiej psychiki, które stały się ich przyczyną.

Pozycja absolutnie obowiązkowa – wszelkie inne oceny niż 10/10 byłyby w stosunku do tej książki niesprawiedliwe. Horror w najmocniejszej postaci, nie dla ludzi o słabych nerwach!

*Neil Gaiman*  
**KORALINA**

Przeciw wagą dla realistycznej, pełnej przemocy Dziewczyny z sąsiedztwa, może być równie wyśmieni-

ta, lecz uderzająca w zupełnie inne tony - baśniowe i subtelne - Koralina Neila Gaimana. Tymi oto słowami wychwala ją sir Terry Pratchett:

"Lektura tej książki sprawi, że dreszcz przebiegnie Wam po plecach, wymknie się butem i ucieknie taksówką na lotnisko. Przepenia ją subtelna groza, właściwa najlepszym baśniom. To arcydzieło. A guziki nigdy już nie będą takie, jak kiedyś."

Nielicha pochwała, szczególnie z ust tak wybitnego człowieka. Jednak powieść, o której mowa zasługuje w pełni na pochlebne recenzje.

Neil Gaiman, znany przede wszystkim jako autor komiksów (np. "Sandman"), postanowił napisać dla swojej córki bajkę. Szybko okazało się, że jego baśniowa opowieść przeistacza się w horror. Tak w skrócie można opisać proces tworzenia jednej z najlepszych współczesnych książek grozy. Niesamowity klimat rodem jak z "Alicji w Krainie Czarów" miesza się tutaj z subtelną, nienachalną grozą. Powstaje mieszanka wybuchowa, która zdążyła już oczarować nieprzebrane tłumy czytelników na całym świecie.

Rodzina Koraliny wprowadza się do nowego domu. Wszystko zaczyna się jak w bajce. Rodzice nie mają zbyt wiele czasu dla dziecka, więc Koralina włóczy się po okolicy. Sąsiad dziewczyny, pan Bobo, tresuje mysi cyrk. Nie jest jednak zadowolony do końca z efektów swojej pracy, bo myszki ciągle chcą śpiewać "tidu didu", a nie "umpa umpa". Poznajemy także czarnego kota oraz dwie starsze panie – aktorki zajmujące się psami. Zostaje wspomniana pewna stara, niepokojąca studnia, ukryta pośród mgieł.

W pewnym momencie Koralina odkrywa drzwi do alternatywnego świata. Odnajduje tam "drugą mamę" oraz "drugiego tatę". Oni zawsze znajdują dla niej czas. Ciągłe powtarzają jak bardzo ją kochają, a kurczak, którego przyrządzają na obiad, jest wyśmiewany! Tkwi w tym wszystkim jednak



pewien haczyk – ci rodzice mają guziki zamiast oczu, a "druga mama" chce ukraść duszę Koraliny.

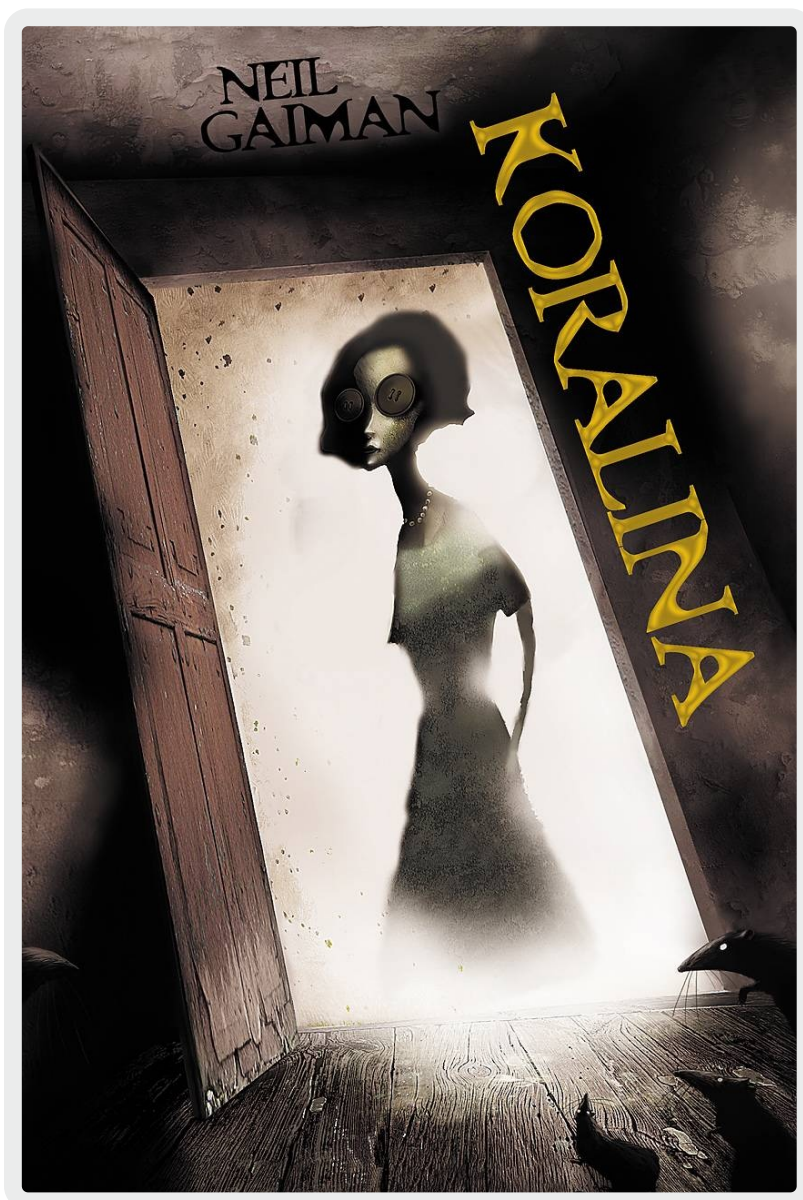
Rozpoczyna się mrozący krew w żyłach horror. Dziewczynka, której jedynym sprzymierzeńcem jest czarny kot, zaczyna grę o swoją duszę (oraz dusze innych dzieci, które padły ofiarą "drugiej mamy"). Szybko okazuje się, że jej przeciwniczka ma wręcz nieskończone potężne moce, może nawet zmieniać rzeczywistość "drugiego świata", tak jak jej się to podoba. Ale Koralina jest sprytną dziewczyną... i ma czarnego kota.

Gaiman zalewa nas wizją przerażających potworów, które stają na drodze Koraliny i kota – są to stwory,

niczym ze snu szaleńca. Natkniemy się na obdarte ze skóry psy, śpiące pod sufitem jak nietoperze, spotkamy szczepione ciałami kobiety oraz staruszka zmieniającego się w obrzydliwego robala.

Horror pierwszej klasy! Nic dziwnego, że krytycy doszukują się w dziele Gaimana arcydzieła: baśniowy klimat, subtelna groza, nieustające napięcie, szybkie tempo akcji – wszystko stoi tutaj na najwyższym poziomie!

Pozycja, którą koniecznie trzeba przeczytać! Powieść doczekała się ekranizacji, lecz szczerze mówiąc, nie wiem czy chcę ją oglądać – wątpię, by film oddał niesamowity klimat tej książki.





MACIEJ ŚLIMAK

## TRÓJKA KLASYKÓW

Kiedy mowa o gatunku SF oprócz „Star Wars”, których tu nie omówię, najczęściej przychodzą nam na myśl dwa filmy – „Terminator” i „Alien”. Już dawno zostały one okrzyknięte klasykami i stały się wzorem dla bardzo wielu podobnych filmów. Bardzo łatwo natknąć się na lepsze lub gorsze klony tych produkcji przeszukując bazę IMDB (o naszym rodzimym Filmwebie niestety nie potrafię powiedzieć dobrego słowa, zwłaszcza po przejściu na nową wersję, która bardziej przypomina Facebooka).

Jak każdy udany film, również one doczekały się licznych sequeli i prequeli. W przypadku „Aliena” jest ich aż siedem (licząc „Prometeusza”) i prawdopodobnie na tym się nie skończy. Dla mnie jednakta seria na zawsze pozostanie trylogią, a tendencja spadkowa wy-

nym hitem. Motyw podróży kosmicznych i odkrywania nowych światów nie był jeszcze wtedy aż tak wyczerpany. Swoje zrobiła również klaustrofobiczna atmosfera statku kosmicznego, na którym uwięzieni są bohaterowie. Ten element został doprowadzony do perfekcji i stał się największym atutem filmu. Scott dał się wtedy poznać jako mistrz ukrytej grozy i strachu przed nieznanym. To nie samego potworka boimy się najbardziej, ale czegoś, czego jeszcze nie widzieliśmy, czego jeszcze nie rozumiemy i co prawdopodobnie ma wobec nas wrogie zamiary. Nie wiemy, z czym mamy do czynienia, jak z tym walczyć, ani jak się bronić. Nie wiemy zupełnie nic! W



rażnie pojawiająca się od czwartej, nakręconej już na siłę części, ujmowałyby tylko klasy wielkim poprzednikom.

„Ósmy Pasażer Nostromo” był tym, który wszystko zapoczątkował, jak również pierwszym ważniejszym filmem Ridleya Scotta. Z pozoru nic nie znacząca produkcja z mało poważanego wówczas gatunku stała się absolut-

nie dodatku pośród załogi jest zdrajca, android, który nie zawaha się poświęcić załogi dla swoich celów. Reżyser świetnie przedstawił tu różnicę między człowiekiem kierującym się sumieniem i uczuciami, a wyrachowaną, pozbawioną skrupułów maszyną, która finalnie okazuje się gorsza niż sam obcy.

Ridley rozwinął koncepcję replikan-



tów w swoim następnym filmie, równie znanym i poważanym „Blade Runne-rze”. Co ciekawe stworzył tam zupełnie inny wizerunek maszyny mistrzowsko przeciwstawiając go temu przedstawionemu w „Alienie”. Tutaj ci źli okazują się dobrymi, a maszyna nie tylko potrafi czuć, ale i chce żyć jak ludzie. Androidy są ofiarami ciężącego na nich stereotypu wykreowanego przez poprzedni film. Zupełnie, jakby chciał powiedzieć: „Spójrzcie, oni są tacy, jak my!”.

Nie można oczywiście zapomnieć o mrocznym, posępnym, industrialnym świecie, jaki wykreował reżyser. Po raz drugi jego film stał się arcydziełem i wzorem dla przyszłych pokoleń filmowców, tym razem jako sztandarowy przykład cyberpunku.

Dalej niestety jest tylko gorzej. Wy-niesiony na piedestał Scott po latach nieudolnie próbuje wrócić do gatunku, który przyniósł mu sławę. Sięga do samych korzeni tworząc prequel „Aliena”, gdzie co prawda nie pojawia się sam kosmiczny potworek, ale co krok widać liczne nawiązania do kultowego filmu. Niestety, to stanowczo za mało i „Prometeusz” nie ma w sobie nic z klasy wielkiego poprzednika. Przywodzi raczej na myśl jego mniej udane kopie, takie jak „Creature”, albo „Xtro”, choć to ostatnie (jest nawet cała trylogia) wcale nie jest filmem złym i szczerze mówiąc, mimo starej daty polecam go bardziej niż najnowszą próbę wskrzeszenia dawnej chwały „Nostromo”.

Przechodząc do kolejnej części trylogii nie sposób nie wspomnieć o wizerunku samego potwora. Można się rozwodzić nad podobieństwem pająkowej larwy do żeńskiej waginy i szukać seksualnych podtekstów wzorem Freuda, który jak dla mnie sam nie był do końca zdrowy, ale uroku słynnemu kosmicznie odmówić nie można. Stworzony przez grafika Hansa Rudolfa Gigerę okazał się doskonały i przez te wszystkie lata przeszedł tylko lekkie modyfikacje. Największą z nich wła-

śnie przy okazji powstania swojego równie wielkiego sequelu.

Tym razem za kamerą stanął nie kto inny, jak James Cameron. Twórca „Terminatora”, który już wtedy był uznanym reżyserem, wydawał się idealnym kandydatem. Postanowił nie kopiować bezmyślnie wizji Scotta, tylko stworzyć coś swojego. Zmienił konwencję, ale jednocześnie nie wyrzucił wszystkiego do góry nogami. Mało kto zwraca na to uwagę, ale wykazał się tu znakomitym wyczuciem i jego dzieło nie tylko nie umniejsza serii, ale wręcz wznosi ją na jeszcze wyższy poziom.

Tym razem postawił na akcję. Wprawdzie dalej mamy klaustrofobiczne korytarze i czające się w nich zagrożenie, ale nie towarzyszy mu już strach, tylko podniecający dreszczyk emocji. Zgodnie z żelazną zasadą sequelu wszystko musi dziać się szybciej i wybuchać mocniej. Już sam tytuł – „Aliens” pokazuje, z czym mamy do czynienia. Zastępy potworów czają się na każdym kroku, a marines, choć nie oszczędzają amunicji szybko znajdują się w potrzasku. James odwrócił koncepcję Scotta i teraz to ludzie wtargnęli na obcą planetę własnoręcznie przygotowując sobie pułapkę. Rozbudował też główną rolę robiąc z Sigourney Weaver prawdziwą gwiazdę i feministyczny symbol kobiecej siły. To już nie jest ta zagubiona dziewczyna z pierwszej części radząca sobie z nieznanym, tylko prawdziwa wojowniczka gotowa walczyć o tych, których kocha. Po raz kolejny ściera się z obcymi, a ci znów ją zaskakują.

Nie mogło się obyć bez rozbudowania wizerunku tytułowego potwora. Widzowie dosłownie domagali się jakichś informacji. Reżyser spełnił te życzenia, dając obcym matkę, królową, która składa jaja i jest najgroźniejszą istotą w całej kolonii. Jednocześnie upodobił kosmitów do znanej nam społeczności mrówek, co w sumie bardzo dobrze wpasowało się w konwencję. Inspiracją do filmu był przecież





także stawonóg, tyle że z dna oceanu.

Dalsza kariera Camerona potoczyła się bardzo obiecująco, choć nie jestem pewien, czy z dobrym skutkiem dla światowego kina. Oprócz trzech arcydzieł, jakimi są obydwie „Terminatory” i „Aliens”, zrobił jeszcze tylko dobrą „Ochłani”. Łączy ona podwodną przygodę ze strachem przed zimną wojną, a wszystko kończy pouczającym morałem. Potem było już tylko gorzej, a najciekawsze jest to, że na swoich dwóch najgorszych filmach James zarobił największą fortunę. Widać tłum nie ma gustu. Zarówno „Titanic”, jak i „Avatar” nie zasługują na cały splendor, jakim są obdarzane,

ale gigantyczny rozmach i jeszcze większy budżet wystarczą, by zmienił średni film w przebój... i to dwukrotnie! I tak oto kobiety wzorem rozlazłej Kate Winslet wzdychają do znie-

wieściałego Leo DiCaprio (słuszny brak Oscara), a faceci zachwycają się błękitną Neytiri, podczas gdy ja zastanawiam się, czy to już zoofilia. Na domiar złego wraz z niebieskimi ludzikami zawitała do nas moda na technologię 3D, a nic nigdy bardziej nie skrzywdziło kinematografii. Producenci już przestają dawać nam wybór, w ilu wymiarach chcemy obejrzeć film, a każdy kolejny dobitnie udowadnia, że kamerą 3D niestety potrafi się obsługiwać jedynie Cameron.

Na szczęście jest jeszcze paru twórców, których nigdy nie podejrzewałbym o taką estetyczną zbrodnię. Wśród nich obok Christophera Nolana i Quentina Tarantino jest także autor trzeciej części „Aliena” – David Fin-

cher.

W przeciwieństwie do poprzednika, on w chwili kręcenia swojego sequelu był debiutantem. Zasłynął dopiero później takimi przebojami jak genialny „Fight Club” i moim zdaniem mocno przeciętne „Se7en”. Jak na ironię, te filmy zostały docenione przez publikę w odwrotny sposób. Widzowie zachwycają się „jedynym dobrym thrillerem”, a wzorem psychopaty został Kevin Spacey, który nie pokazuje nawet połowy swoich możliwości. Fanom polecam „Usual Suspects” i „K-Pax”. Tam można zobaczyć prawdziwy popis jego aktorskiego warsztatu.



Tym, co łączy wszystkie filmy Finchera jest charakterystyczny, ciężki klimat, dzięki czemu jego styl jest praktycznie nie do pomylenia. Tak oryginalny twórca wydawał się być idealnym kandydatem, niestety nie obyło się bez zgrzytów.

David jest człowiekiem ze swoją wizją, która niekoniecznie musi podobać się producentowi. Na dodatek nie miał jeszcze doświadczenia w branży, a pracował nad kontynuacją arcydzieła. Stawka była więc wysoka. Zwykle kończy się na tym, że reżyser wycina parę minut z taśmy. Skrócona wersja idzie do kin, a brakujące sceny trafiają na DVD do wersji rozszerzonej. Fabuła „Alien 3” była przedmiotem prawdziwej wojny. Tak oto wersja kinowa i reżyserska to dwa zupełnie różne filmy, gdzie



ponad połowa materiału jest inna. Na szczęście obie trzymają poziom i w żadnej nie zabrakło przytłaczającej, gęstej atmosfery.

Po wybuchowej wizji Jamesa, Fincher zafundował nam powrót do korzeni. Znowu mamy jednego obcego w labiryncie korytarzy, a naprzeciw niego załogę, która znowu nie posiada broni. W odróżnieniu od poprzedników nowy film jest też mocno pesymistyczny. Już samo miejsce akcji odziera z wszelkiej nadziei. Zakład o zaostrożnym rygorze na zapomnianej przez Boga planecie mającej kontakt ze światem zewnętrznym tylko dwa razy do roku. Ciężki, więzienny żywot przeplatany padającymi od czasu do czasu religijno-apokaliptycznymi dialogami. Reżyser daje nam wyraźny znak – ten świat się kończy, nie ma już żadnej nadziei.

Również główna bohaterka przeszła przemianę. Z silnej wojowniczkę znanej z „Aliens” zmieniała się w kobietę zniszczoną przez los. Kogoś, kto jest gotowy na wszystko, bo nie ma już nic do stracenia. Relacje jej i obcego świetnie oddaje cytata wypowiedziana przez samą Ripley podczas sceny polowania – „Jesteś częścią mojego życia od tak dawna, że niczego innego już nie pamiętam”. Pesymistyczną całość świetnie dopełnia zakończenie,

które według mnie jest najlepszym w całej serii. Tutaj pragnę zaznaczyć, że końcówka lepiej wypada w wersji kinowej.

Na przestrzeni lat cała seria przechodziła lepsze lub gorsze zmiany, by w końcu upaść prawie na samo dno. „Alien” to świetny przykład, że z niczym nie wolno przesadzać. Moim zdaniem najlepiej dla wszystkich wyszłoby, gdyby porzeczano na trzeciej części, która tak ładnie zamykała całą historię. Swoją drogą Fincher musiał nieźle zająć producentom za skórę. Swoją końcówką znacznie utrudnił realizację kolejnych sequeli, czego doskonałym przykładem jest słaba fabuła czwartej części, która przecież musiała nawiązywać do poprzednika.

Dlatego też ja w „Alienie” widzę trylogię, gdzie każda część jest arcydziełem w swojej klasie. Mamy więc wzorcowy klaustrofobiczny horror, świetny film akcji oraz ambitny, klimatyczny SF, i tak powinno pozostać. Schemat kosmicznej skradanki już się powoli wyczerpuje, a żadna z kolejnych części nie potrafiła w dobry sposób pokazać inwazji obcych na Ziemię, bo to chyba jedyne, czego mi w tej serii brakowało.



HONORATA NOWACKA

## UWAGA – TO NIE JEST HORROR!

**K**limat rodem z romantycznych ballad. Szaleństwo i nie-szczęśliwa miłość w ludowej otocze, a na dodatek delikatny dreszczyk grozy.

Profesor Wittembach, niemiecki pastor, udaje się na Żmudź, by tłumaczyć na żmudzki Biblię i dowiedzieć się czegoś o języku i zwyczajach żyjących tam ludzi. Po długiej podróży trafia do posiadłości hrabiego Szemiot, jednak wita go tam tylko lekarz, leczący matkę hrabiego. Profesor dostrzega jego dziwne zachowanie, częste zniknięcia, unikanie gości, i zostaje wtajemniczony przez doktora Froebera w wydarzenia sprzed ponad dwudziestu lat, kiedy to hrabina Szemiot została zaatakowana przez niedźwiedzia i w wyniku tego zdarzenia postradała zmysły. Po urodzeniu syna, kazała go zabić, nazywając zwierzęciem i potworem. Zarazem dowiaduje się, że poznana wcześniej w pociągu kobieta, jest wybranką Michała Szemiota, która to odrzuca jego miłość. Profesor poznaje też powszechnie pokutujący przesąd, że napadnięta przez niedźwiedzia kobieta musi urodzić człowieka zmieniającego się nocami w potwora.

Jako, że w miarę upływu czasu niewiele się dzieje, panowie spędzają dni na dysputach i przechadzkach. Podczas jednej z nich spotykają wiedźmę (genialna rola Stanisława Miłskiego), która nazywa Szemiota królem zwierząt i przestrzega go przed odwiedzaniem Julki, jego ukochanej.

Powstały w 1970 roku „Lokis. Rękopis profesora Wittembacha” na podstawie powieści Prospera Merimee pod tym samym tytułem, jest daleki od współczesnych wyobrażeń o filmach grozy, ukształtowanych na amerykańskich produkcjach. Niewiele krwi, żadnych

czyhających w lochach potworów i wyracających flaki scen. Wszystko to jednak rekompensuje wspaniała atmosfera.

Trudno przecenić takie drobiazgi, jak zapowiadająca późniejsze wydarzenia scena z wytresowanym, tańczącym niedźwiedziem na początku i nawiązujący do tego taniec „rusalka”, czy (jeden z ostatnich kadrów) zabite drapieżniki przy torach – nasuwające widzowi sprzeczne domysły – czy młody Szemiot był ofiarą zabawy lekarza, jak wytresowany niedźwiedź, czy rzeczywiście nocami zmieniał się w bestię.

Gra aktorów nie powala na kolana, niekiedy wydaje się zbyt teatralna, szczególnie w przypadku grającego główną rolę Józefa Duriasza. Na laur w tym miejscu zasługuje również wspomniany już epizod Stanisława Miłskiego w roli wiedźmy.

Fabula jest prosta, choć mocno okrojona i schematyczna. Na plus można jednak policzyć kilka zgrabnie wplecionych, humorystycznych scenek, jak płoszenie kąpiących się wieśniaczek.

Pomyłką według mnie jest natomiast sposób, w jaki przeprowadzono końcową rozmowę pastora i lekarza. Wyznanie Froebera jest kompletnie nieprzekonujące. Skądinąd dobrze stopniowane napięcie nie osiąga punktu kulminacyjnego. Moment wyważania drzwi i scena, gdzie domownicy tłoczą się w progu sypialni, chcąc zobaczyć, co się wydarzyło podczas nocy poślubnej, są raczej komiczne. W ogólnym zestawieniu film „wychodzi” jednak na plus, szczególnie biorąc pod uwagę muzykę – za komentarz do niej wystarczy chyba samo nazwisko twórcy, Wojciecha Kilara.



**Saga zmierzch:  
Przed witem cz 2**



Oczekiwany z utęsknieniem przez wielu film w końcu się ukazał...

Pominięto wiele fragmentów z książki, a część z nich zmodyfikowano - niestety na niekorzyść. Oglądanie filmu było siłą okropne. Sceny, które powinny być straszne lub zapierające dech w piersiach, często zwyczajnie irytowały - na przykład przemiana Jacoba w wilka. Zbyt duża dawka efektów specjalnych, mających chyba zamaskować niedociąganie scenariusza, dialogi nudne i monotonne, wstawione chyba tylko dla wydułenia filmu. Cóż więc można powiedzieć? Może lepiej nie denerwujemy ludzi, którzy już mieli w tym przyjemność widzieć to „dzieło”. Oddanych fanów i tak to pewnie nie odstraszy od obejrzenia tego filmu, więc dalsze dywagacje można sobie darować.

HIT ★★★★★★★★★★ KIT

**Mistrz**



Niektórzy mogą stwierdzić, że film jest nudny i niezrozumiały. Zgadza się, ale tylko pod warunkiem, że idzie się na niego z przekonaniem, że nie będzie fabuły, albo będzie się kręciła wokół rozpierduchy jak robią wpadający w samych bokserkach Steven Segal. „Mistrz” jest niełatwy w odbiorze i może nie każdemu odpowiada. O wartości filmu stanowi przede wszystkim genialne role, m.in. Phoenixa. Po obejrzeniu można mieć młot w głowie. Warto wtedy odczekać chwilę i obejrzeć film ponownie, a później jeszcze raz, i kolejny. To nie będzie stracony czas.

HIT ★★★★★★★★★★ KIT

## Atlas chmur

Po obejrzeniu zwiastuna mo na mie nieco wygórowane oczekiwania wobec tego filmu. Niemniej produkcja, cho do kontrowersyjna, spełnia pokładane w niej nadzieje. Wspaniała gra aktorska – tutaj dobrze widać czym różni się filmy polskie od wiskości zachodnich. Tajemnica tkwi w grze aktorskiej, swobodzie w czasie odgrywania roli. Mo na te odnie wrażenie ogromnej złożoności fabuły i relacji między bohaterami, jednak jeżeli ktoś pozostanie skupiony i nie straci w tym, to będzie prezentowane w filmie na pewno mu to wynagrodzić. Zdecydowanie polecamy, o ile gustuje ktoś w produkcjach z głębszym sensem.



HIT ★★★★★★☆☆☆☆ KIT

## Mój rower

Film wartego obejrzenia. Jest to polska produkcja, lecz wybierając się na niego nie trzeba być zaopatrzonym w konsolę do gier, aby jako zabić czas. Myślę, że w tym wypadku ktoś zdecydowanie lepiej przemyślał sprawę i zastanowił się nad tym jak stworzyć coś, co zachęci czytelnika do pozostania w kinie i obejrzenia filmu do końca. Bardzo dobre zdjęcia i sceneria, okraszone wspaniałą muzyką. Ktoś, dla kogo estetyka jest bardzo ważna, z pewnościami doceni starania twórców, gdy pod tym względem film jest wspaniale nakręcony. Nie ka demu zatwardziałemu przeciwnikowi polskiej kinematografii oczywiste będzie, że ten obraz podobał (choćby dla zasady), ale jak to zwykle bywa, wszystkim się nie da dogodzić.



HIT ★★★★★★☆☆☆☆ KIT



## Anna Karenina

Bardzo dobrze wykonany film. Nieco odbiega od oryginału, lecz pró no szuka takiego, który w pełni oddawałby to, co zapisane na kartach ksi ki. wietna gra aktorska stanowi esencj filmu. Pi kne kostiumy, wspaniała muzyka. Film wietnie oddaje klimat carskiej Rosji; teatralna konwencja tylko dodaje uroku całej fabule, urozmaica j i pokazuje w pi knym, nostalgicznym wietle. Zdecydowanie polecamy t pozycje dla fanów prawdziwych filmów romantycznych.



HIT ★★★★★★☆☆☆☆ KIT

## Fuck for forest

Erotyzm i wszechobecna nago , miejscami podchodz ca pod pornografi , chc wkroczy do mainstreamu. Z jednej strony panuje dowolno w tworzeniu i odbiorze pozycji filmowych, z drugiej mog one razi i dotyka naszej moralno ci bardziej ni typowa pornografia. Dlaczego? Id c na seans mam w głowie obraz: „dokument”, co na wzór opowie ci o problemach ludzi i tym, jak sobie z nimi radz . Nie jestem przygotowany na du porcj nago ci, któr autorzy filmu eksponuj nad wyraz ch tnie. Niektórych to peszy. Niemniej film łamie konwencje i prezentuje nietypowe podej cie do sprawy, cho mo liwe, e dałoby si inaczej ugry ten temat. Mimo wszystko jest to raczej co niespotykanego w kinematografii, wobec czego ci ko jednoznacznie wyda ocen .



HIT ★★★★★★☆☆☆☆ KIT



# VIA APPIA

KWARTALNIK LITERACKO-KULTURALNY



## REDAKCJA

REDAKTOR NACZELNY

Damian Nowak

## REDAKCJA

Przemysław Małacha, Karolina Dyja,  
Ewa Lasota, Sławomir Kołodziejczyk,  
Honorata Nowacka, Karolina Chojnacka,  
Aleksandra Andrukowicz, Marta Gruzło,  
Jarosław Turowski, Magdalena Michalska,  
Robert Plesowicz

## OSOBY WSPÓŁPRACUJĄCE

### Z REDAKCJĄ

Maciej Ślimak, Michał Olejarski,  
Małgorzata Połomska, Alicja Radzimska

## SKŁAD ORAZ PROJEKT OKŁADKI

AcidOne, Sławomir Kołodziejczyk

## ILUSTRACJE DO OPOWIADAŃ

AcidOne

## ŹRÓDŁA

Wikimedia Commons, strony autorskie  
i inne miejsca w internecie

## LICENCJE

Wszystkie wykorzystane materiały graficzne  
niebędące dziełami członków redakcji zostały użyte  
przy wykorzystaniu licencji creative commons.  
Prawa autorskie należą wyłącznie do twórców.

## PRAWA DO MATERIAŁÓW

Magazyn powstał w oparciu o materiały tekstowe  
utworzone przez członków redakcji kwartalnika kul-  
turalnego via appia, jak również o teksty dostarczone  
przez użytkowników forum literackiego via-appia.pl  
za ich dobrowolną zgodą. W celu powielania, pub-  
likowania lub innego użycia należy skontaktować się  
z autorami lub poprzez redakcyjną skrzynkę e-mail.

## KONTAKT

[www.via-appia.pl](http://www.via-appia.pl)  
[kontakt@via-appia.pl](mailto:kontakt@via-appia.pl)